Nr. 42 (1501). Warszawa, 16 października 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pod pręgierz dziejowy.

W ojczyźnie św. Inkwizycji — rozegrywa się w tej chwili jeden epizod tej odwiecznej walki, w której uczestniczy cały świat cywilizowany. W murach barcelońskiego więzienia zamknięto *ideę*, a przeciw niej wymierzyła lufy karabinów brutalna *siła*. Czarna reakcja pochwyciła w swe drapieżne szpony głosiciela wolnej myśli, Franciszka Ferrera, który całe życie swe poświęcił dla wyrwania swego narodu z ciemnej otchłani niewoli duchowej. W myśl słów Elizeusza Réclus: „rewolucja siły, nie poparta przez rewolucję umysłów, prowadzi do zguby; wyzwolenie ludu spoczywa w wyzwoleniu dziecka” — stworzył on w Barcelonie Szkołę nowoczesną (Escuela Moderna), szkołę świecką w ojczyźnie Lojoli, szkołę racjonalistyczną i niezależną — w kraju, w którym klasztorne zgromadzenia tak dobrze opiekowały się oświatą, że na 17 miljonów mieszkańców liczono 12 miljonów analfabetów. Ruch wzbudzony przez Ferrera zataczał coraz szersze kręgi, lecz głównie zogniskował się w przemysłowej Katalonji, gdzie w 1901 r. powstała słynna i poza granicami kraju szkoła wzorowa. Dla niej najuczeńsi mężowie Francji i Włoch opracowywali metody i podręczniki... W krainie ciemnej reakcji rozbłysło żywe ognisko światła, zbiedzony lud zaczął tłumnie garnąć się do niego; w 1905 roku w Katalonji i innych prowincjach istniało 60 szkół racjonalistycznych.

Oto główne przestępstwo Franciszka Ferrera. Cóż dziwnego, że potęgi ciemności sprzysięgły się na jego zgubę. Już przed czterema laty usiłowano go pogrążyć, oskarżając o udział w zamachu Morala. Uwięziony, zagrożony karą za niepopełnione zbrodnie, byłby już wtedy uległ przemocy swych wrogów, gdyby oświecona Europa nie podniosła głośnego protestu.

Obradujący wówczas w Paryżu Kongres wolnej myśli zażądał wypuszczenia go na wolność... Wtórowały mu głosy uczonych i myślicieli, odezwy zgromadzeń ludowych — Ferrer odzyskał swobodę. Dzięki solidarnemu wystąpieniu wszystkich czcicieli światła i wolności duchowej, uzbrojona reakcja skapitulować musiała.

Nie długo czekała jednak na sposobność powetowania poniesionej klęski. Ferrer — przywódca duchowy wszystkich tych żywiołów, które kiedyś może stworzą „młodą Hiszpanję”, choć dziś jęczą pod uciskiem ginącej i rozkładającej się „starej Hiszpanji” — był zawsze gotową ofiarą wszystkich jej krwawych odwetów. Jeśli nie udało się okupić jego śmiercią spisku Morala, może uda się nią nasycić żądzę zemsty za rewolucję Barcelońską, za pogrom klasztorów? Wszakże on je całe życie zwalczał! nie kulą i bagnetem lecz moralną bronią: pisanym i drukowanym słowem, podręcznikiem szkolnym, eksperymentem przyrodniczym, a to broń stokroć groźniejsza.

Ferrer więc zginąć musi. Szkoły jego zamknięto. Uniemożliwiono mu obronę, oddalono jego świadków, uwięziono jego obrońcę i wydano wyrok.

Może w chwili, gdy słowa te kreślimy — już pada pod kulami karabinowymi na stokach fortu Montjuich... [1])

I znowuż cała oświecona i cywilizowana Europa staje się jego wymownym obrońcą. Można ją znieważyć aktem zemsty i przemocy — uwięzić jej niepodobna. W Rzymie ludność demonstrowała tak tłumnie, że powstrzymano cały ruch uliczny, w Amsterdamie przyszło do zatargu z policją, wszyscy adwokaci

[1]) Istotnie, d. 13 października o godz. 9 rano rozstrzelano w forcie Montjuich Franciszka Ferrera.

paryscy podpisali protest przeciw bezprawnemu wyrokowi, — uczeni, literaci, artyści, działacze polityczni ślą protesty i telegramy do krwawego trybunału. Podobno zbrodnicza ręka legalizowanego gwałtu zadrżała — podobno się waha.

Nic łatwiejszego jak zniszczyć jedno życie ludzkie...

Największy gienjusz ma tak samo zbudowane serce, aortę, mózg i trzewia—jak pospolity płatny żołdak, który na komendę z karabina mierzy, jak urzędnik przepisujący kaligraficznie i poprawnie akty, których doniosłości nie ocenia i nie roztrząsa. Ale kula, która przeszywa mózg, nie zabija myśli, które się w nim zrodziły.

„On n'assomme pas les idées à coup de bayonettes".

Jeżeli Ferrer zginie, nie zginie z nim razem ani ta potęga, którą on uosabiał, ani ta, co go bierze w obronę, ani też ta, której ogniska rozniecił w główkach dziatwy hiszpańskiej.

Ludzie umierają, ludzkość żyje; z mogił ofiar i bojowników wyrasta drzewo wolności, a gdy krew męczeńska zasila jego korzenie, wysoko ku światłu wznoszą się jego konary.

Kiedyś może *młoda* Hiszpanja pielgrzymować będzie do grobowca człowieka, który i życiem i śmiercią służył idei jej odrodzenia.

W sprawie wychodźtwa.

Już od dłuższego czasu zaczęło kiełkować wśród ogółu przekonanie, że stałe wychodźtwo ludu naszego za granicę jest zjawiskiem pierwszorzędnego znaczenia dla ekonomicznych i społecznych warunków kraju i że domaga się ono nietylko czujnej baczności lecz czynnej interwencji ze strony zorganizowanych i uświadomionych grup społecznych. Na ruch żywiołowy o tych rozmiarach i tej doniosłości nie podobna stale reagować również żywiołowym odruchem, lecz należy przystosować do niego i z nim skoordynować rozumną i celową obywatelską działalność.

Pierwszą próbę na tym polu uczyniło rok temu Towarzystwo Kultury Polskiej, gdzie z inicjatywy Aleksandra Świętochowskiego sprawę wychodźtwa poddano wyczerpującej dyskusji, po której wybrano komisję, mającą na celu wcielenie w życie postulatów, które się z niej wyłoniły. Zaproszono do współudziału inne organizacje społeczne i zamierzono wraz z nimi przystąpić do utworzenia towarzystwa opieki nad wychodźcami opartego na zupełnie tych samych zasadach co zaprojektowane obecnie.

Myśl ta wówczas jednak nie doznała dostatecznego poparcia i powiększyła nasze bogate archiwum niewykonanych projektów. To archiwum—to istny cmentarz noworodków, co ledwie ujrzały światło dzienne z zaniedbania i głodu giną wśród niechętnego i obojętnego otoczenia. Powtarza się tu to samo, co w świecie zwierzęcym: nadmierna śmiertelność idzie w parze z nadprodukcją, a ta naodwrót powoduje nadmierną śmiertelność. Mnóstwo żyjątek ginie; tu i owdzie jakieś maleństwo utrzyma się przy życiu i walczy o istnienie... Może obok organizacji wychodźtwa należałoby pomyśleć i o organizacji inicjatywy społecznej, częściej zamieniając współzawodnictwo na współdziałanie?

Myśl rzuconą rok temu przez Kulturę Polską podjęto dziś nanowo w innym zespole. Tym razem nikt z wezwanych nie odmówił poparcia prócz przedstawicieli ziemiaństwa — a im nawet się dziwić nie można.

Traktując wychodźtwo jako jedną z klęsk gospodarczych na równi z pożarem i gradobiciem — do żadnej akcji organizującej wychodźtwo przystąpić nie mogą i nie zechcą.

Inauguracyjne przemówienie p. Włodka nie stało na gruncie światopoglądu ziemiańskiego, jakkolwiek go w pewnej mierze uwzględniało. Wychodząc z założenia, że wychodźtwo jest faktem, którego unicestwić nie jest w naszej mocy, z którym się liczyć trzeba — zmierzał do wykazania niezbędności instytucji, któraby nad wychodźcami rozciągała opiekę, zapobiegała marnowaniu się i wykolejaniu mnóstwa istnień ludzkich, ofiar ciemnoty i wyzysku, przez udzielanie kompetentnych informacji, przez uczciwe pośrednictwo i t. p. Ustępstwo dla interesów ziemiańskich polegało tylko na tym, że na pierwszym miejscu postawiono emigrację wewnętrzną czyli pośrednictwo w pracy, to jest tę samę czynność, którą bez powodzenia prowadzi wydział robotników sezonowych przy Tow. pracowników rolnych.

Pod dyskusję postawiono najprzód stronę formalną projektu — mianowicie pytanie, czy projektowane Towarzystwo ma być współką firmowo-komandytową opartą na udziałach, czy też stowarzyszeniem czerpiącym swe fundusze ze składek członkowskich. W pierwszym wypadku zaproponowano poddanie działalności Towarzystwa emigracyjnego kontroli jakiejś instytucji społecznej obdarzonej ogólnym zaufaniem, naśladując w tym przykład Galicji. gdzie Wydział krajowy objął kontrolę nad analogicznym towarzystwem.

Zaznaczyć należy, że ta strona projektu była wprawdzie ubocznie dotykana w dyskusji, lecz bynajmniej nie oświetlona wyczerpująco. Jest jednak przecież rzeczą pierwszorzędnej wagi, czy chodzi tylko o założenie przedsiębiorstwa finansowego mającego uczciwie konkurować z nieuczciwymi agiencjami emigracyjnymi, czy też o instytucję społeczną, żyjącą *nie z emigrantów, lecz dla emigrantów*, tworzącą łącznik między nimi a porzuconym przez nich krajem ojczystym i spełniającą względem nich te wszystkie obowiązki, jakie różne społeczne organizacje spełniają względem tych, co pozostają w kraju. Między jednym i drugim jest przecież duża różnica nawet wtedy, gdy towarzystwo oprzemy na samopomocy, t. j, gdy ono materjalne swe podstawy zawdzięczać będzie samym interesowanym. Różnicy tej nie wypełni nawet oficjalna konttola jakiejś innej, powszechnym zaufaniem obdarzonej instytucji. Pytanie zachodzi, gdzie znalaźćby można u nas to koło ludzi, któreby się bezwzględnie powszechnym zaufaniem poszczycić mogło? Kto ma zaufanie ziemiaństwa, nie posiada zaufania ludu wiejskiego; komu ufa fabrykant, temu nie ufa robotnik; wybrańcy narodowej-demokracji budzą nieufność w innych obozach, a wybrańcy realistów w innych. Jednostki — ze względu na powszechne zaufanie, którym się cieszyły—stawiane na czele ogólno krajowych instytucji (jaką była Macierz np.), stawały się przedmiotem napaści ze strony swych najbliższych współpracowników. Toż najwątlejszą podstawą, jaką tylko wymyślić można, jest owo *zaufanie* przyznane przez aklamację jakiegoś przypadkowego grona. Fakty uczą, że w sprawach ogół dotyczących — tylko publiczna kontrola i jaknajzupełniejsza jawność działania mogą stanowić gwarancję, a zarazem czynnik, który z czasem do zdobycia i umocnienia zaufania prowadzi. Pan Rakowski, redaktor *Sztandaru*, w przemówieniu swym użył tu wyrazu „patronat" i przytoczył przykłady ze stosunków poznańskich.

Sądzimy, że przeszczepienie na nasz grunt takich, na autorytecie opartych, wyższych instancji aniby się nie udało, aniby też nie było pożądane. Jest ono możliwym tam, gdzie mocą pewnej milczącej zmowy

uznaje się małoletniość społeczeństwa i oddaje się je pod kuratelę jednostek uznawanych za *naturalnych kierowników* ludu, jak nieraz w zaborze pruskim mianują księży i ziemian. U nas pojęcie *naturalnego przodowcictwa* już dawno w umysłach zanikło, trudno więc przewidywać, by powaga jakiegokolwiek patronatu uciszała krytykę i usuwała wątpliwości.

Pogląd p. Rakowskiego — jak dowiodło jego przemówienie — jest w tych sprawach typowo poznańskim. Z oburzeniem wspominał o prasie galicyjskiej poddającej publicznej krytyce instytucje publiczne, zamiast widzieć w tym zupełnie normalny i zdrowy objaw czujności społeczeństwa w wykonywaniu przysługującego mu prawa kontroli.

Pan Rakowski i w innym względzie okazał się zupełnie nieprzygotowany do wniknięcia w znaczenie podjętej inicjatywy. W jego rozumieniu wychodźtwo jest złem, które zwalczać należy, które zwalczać można, walka ta zaś winna być pierwszym zadaniem nowo-powstającej organizacji — a dalszym dopiero — opieka nad tą resztą emigrantów, których się absolutnie nie da w kraju zatrzymać. Nie liczy się on z tym, że ta reszta nie zawierzy swych losów ludziom, którzy ją od emigracji odwodzili, lecz uda się do zwykłych agientów — to jest pozostanie to, co jest i dziś, z tą różnicą że samo istnienie towarzystwa zwalczającego wychodźtwo zaostrzy przebiegłość i zabiegliwość tajnych biur emigracyjnych.

Wybór kierunków dla prądu emigracyjnego proponowany przez p. Rakowskiego zdradzał tak zupełną nieznajomość warunków społecznych i prawnych, że spotkał się z jednomyślnym protestem wszystkich następnych mówców. Przytaczam głos pa- R. tak obszernie, gdyż jest on wyjątkowo znamiennym oraz dlatego także, że mówca był niejako wyobrazicielem pewnego odłamu opinji stojącego pod sztandarem demokracji chrześcijańskiej. Jakkolwiek wśród obecnych na zebraniu nieomal wszyscy zwalczali zapatrywania p. Rakowskiego, można z góry być pewnym. że wśród nieobecnych znajdą one szerokie poparcie, jako wyraz opinji niekompetentnej.

Solidarność ze stanowiskiem p. Rakowskiego zadeklarował z pomiędzy następnych mówców tylko p. Prószyński — redaktor *Gazety Świątecznej*. I ten głos miał wielce znamienne znaczenie. *Gazeta Świąteczna* i jej redaktor przedstawiają w stosunku do ludu i jego interesów stary kierunek, który patryjarchalnym nazwę, choć nazwa to może nie dość dosadna w danym wypadku. Z zasady nie wnika się tu w punkt widzenia zainteresowanych, nieuwzględnia się ich praw i dążeń. Starsi postanawiają — dzieci słuchają, a starsi postanowili, że dzieci mają w domu siedzieć i wybić sobie z głowy mrżonki o szczęściu za górami.

Miarą uspołecznienia jest tu miara posłuszeństwa. Pan Prószyński oświadczył, że zawsze chłopów od emigracji odwodził i że udawało mu się to nawet wtedy „gdy to było z ich krzywdą.” Cytuję dostowne jego wyrażenie.

Przyjaciele ludu w rodzaju p. Prószyńskiego konpromitują się takimi wyznaniami bez najmniejszej świadomości, że one na nich złe światło rzucają. Szczycić się ustalonym zaufaniem szerokich kół ludowych i jawnie stwierdzać, że się na to zaufanie nie zasługuje, — toć to przecie jakiś osobliwy rodzaj dobrodusznego cynizmu, cudownie godzący się z niezmąconym spokojem sumienia.

Pan Włodek odpowiadając p. Prószyńskiemu, skorzystał z jego słów dla stwierdzenia, jak utopijną mrzonką jest nadzieja powstrzymania emigrantów w kraju „jeśli tak poczytna i szeroko rozpowszechniona śród ludu *Gazeta Świąteczna* mimo użycia całego swego wpływu powściągnąć go nie zdołała”. Naturalnie p. Prószyński nigdy się nie da przekonać, że szedł i idzie niewłaściwą drogą. Są ludzie, którzy uwierzą raczej, że przyroda się myli, historja się myli, lecz oni pomyłki popełnić nie mogli. Tak wielką jest moc tradycji i nałogu.

Zebranie miało na celu wybadanie opinji a zarazem pobudzenie jej do zainteresowania się sprawą wychodźtwa i działalnością projektowanego towarzystwa. Listę członków komisji organizacyjnej przygotowaną z góry odczytano bez protestu ze strony pozostałej do końca resztki wytrwałych uczestników. Może to i racja; kto powziął inicjatywę, niechaj robi dalej. Należałoby się tylko domagać również w dalszym ciągu stałego informowania opinji publicznej o kolejnych etapach tej pracy, — tylko bowiem w takim razie będzie ona mogła współdziałać ich usiłowaniom i wytwarzać w koło nich atmosferę ufnej życzliwości, która o powodzeniu stanowi.

Na zakończenie jeszcze skromne pytanie: Czemu nie zaproszono na zebranie żadnego przedstawiciela bezpośrednio zainteresowanej strony? Lud emigrujący zbiera pewną sumę konkretnych doświadczeń mających bardzo wielką wartość informacyjną.

Czasem jeden list robotnika drukowany w *Przeglądzie Emigracyjnym* rzuca więcej światła na kwestję niż długie akademickie wywody. Mamy już mnóstwo rodzin wieśniaczych, które prócz pieniędzy odbierają od swoich takie listy. Mamy całe zastępy tych, co przez szereg lat wychodzili na roboty za granicę i poznali wszystkie złe i dobre strony tych wędrówek. Fakty stanowią lepszy punkt wyjścia dyskusji niż teoretyczne założenia. A zresztą — czyż zawsze opiekunowie ludu mają radzić o nim bez niego?

I. Moszczeńska.

Kwestja rusińska w Galicji.

(Dokończenie).

Przypatrzmy się teraz pracy kulturalnej Rusinów, stojących na gruncie narodowym i moskalofilów.

Towarzystwo „Proświta”, założone przez narodowców rusińskich i składające się wyłącznie z nich, istnieje już lat 40. Początkowo miało charakter wyłącznie tylko oświatowy, od roku zaś 1890 pracuje też nad podniesieniem dobrobytu ludu.

Obecnie towarzystwo to liczy koło 15,000 członków, posiada 50 filji w miastach powiatowych i ponad 2,000 czyteln w miasteczkach i wsiach; we Lwowie w rynku posiada własny wielki dom. „Proświta” wydaje popularne książeczki ludowe, pisma i podręczniki szkolne.

W 1908 roku wyszło 9 książek w 130,000 egzemplarzy. Przez cały czas istnienia towarzystwa wydało ono 115 książek w 2,325,000 egzemplarzy.

Pod względem ekonomicznym „Proswita” rozwija też płodną działalność. Towarzystwo przyczyniło się do podniesienia mleczarstwa wśród ludu, do założenia kas oszczędności i t. p.

Ogólny dochód roczny „Proświty” w roku 1906 wynosił 129,670 kor. 44 h. z czego na wkładki członków przypadało 17,588 kor. 99 h. Ogólny dochód towarzystwa od chwili jego powstania wynosi koło 800,000 kor.

Tow. Im. Szewczenki wydaje prace naukowe i pisma perjodyczne poświęcone wiedzy, literaturze i sztuce.

Celem rozwoju szkolnictwa norodowego Rusini założyli w 1881 r. Towarzystwo Pedagogiczne, mające obecnie 3,000 członków i 42 filje w kraju. We Lwowie założyło ono trzy szkoły prywatne; jedna z nich przygotowuje młode dziewczyny do zawodu nauczycielskiego, druga jest zwykłą szkołą ludową, trzecia wreszcie (wydziałowa) ma za zadanie dostarczenie szerszego zakresu wiedzy dla kobiet.

Prócz tego Tow. Pedogogiczne utrzymuje cztery

bursy, w których młodzież bądź zupełnie bezpłatnie, bądź też za małą opłatą otrzymuje życie, opiekę, mieszkanie i pomoc w nauce. Pozatym Tow. Pedagogiczne wydaje pismo dla nauczycieli, oraz książki i pismo dla dzieci.

Narodowcy założyli też w Przemyślu liceum żeńskie, a we Lwowie prywatne żeńskie gimnazjum.

Tow. ukraińskich wykładów Im. Piotra Mogiły jest rodzajem uniwersytetu ludowego.

Pomijam tu dla braku miejsca inne tow. oświatowo-kulturalne bardziej specjalne, jak np. Tow. muzyczne, tow. dla rozwoju sztuki rusińskiej i t. p.

W Galicji wychodzą 22 pisma wydawane w języku rusińskim, na Bukowinie 4.

Na polu ekonomicznym narodowcy rusińscy osiągnęli też postępy znaczne, tworząc liczne instytucje rozwijające się pomyślnie. Najstarszą z nich jest „Narodna Torgowla" we Lwowie, mająca 19 składów na prowincji. Zasługują też na uwagę: Tow. Wzajem. Ubezpieczeń „Dnistr", „Krajowyj Sojuz Kreditowyj" (Krajowy związek Kredytowy), „Krajowyj Sojuz Rewizyjnyj" (coś w rodzaju naszego Związku Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych), obecnie powstaje Bank Hipoteczny.

Do Krajowego Związku Rewizyjnego należało w 1908 roku 208 stowarzyszeń: 168 kredytowych, 21 handlowych, 10 przemysłowych, 10 rolniczo-gospodarczych, 9 mleczarskich i 9 innych. Prócz tego jest jeszcze 184 spółek oszczędnościowych i pożyczkowych.

Działalność oświatowa i kulturalno-ekonomiczna moskalafilów jest o wiele słabsza, chociaż zagarnęli oni w swoje ręce w siódmym lat dziesiątku wieku XIX instytucje publiczne rusińskie, rozporządzające bardzo poważnymi funduszami.

Posiadają oni w swoim ręku: „Stawropigijskij Institut", Narodnyj Dom", „Obszczestwo Im. Michaiła Kaczkowskawo", założone w 1874 r. i będące czymś w rodzaju „Proświty". Tow. Im. Kaczkowskiego posiada koło 10,000 członków, ma 27 filji i 1,400 czytelń. Filje te jednak i czytelnie, zdaniem jednego nowego organu moskalofilskiego, w znacznym stopniu są tylko na papierze. W każdym razie ani w części nawet nie okazują tej ruchliwości i wogóle żywotności, co analogiczne instytucje rusińskich narodowców.

Instytucje moskalofilskie, jak nap. „Narodnyj Dom" i „Stawropigijskij Institut", są rządzone w sposób skandaliczny i rujnujący. Inne, jak „Galicko-ruskaja Matica", zostały doprowadzone do zupełnej ruiny materjalnej. „Obszczeje rolniczo-kreditowe zawiedienje" zbankrutowało pomimo licznych zasiłków materjalnych z Rosji.

Moskalofile mają obecnie tylko dwie ważniejsze instytucje gospodarcze, są nimi: we Lwowie „Zaszczita Ziemli" rodzaj Banku kredytowego i parcelacyjnego, i w Samborze „Riznica" Tow. wyrobów przedmiotów kościelnych.

Sejm galicyjski asygnuje Rusinom zarówno narodowcom jak i moskalofilom bardzo nieznaczne fundusze na cele gospodarczo-kulturalne i oświatowe.

Wspomniane wyżej instytucje rusińskie, zwłaszcza znajdujące się w rękach narodowców, powstały o własnych siłach z ofiarności ludowej. Okoliczność ta ma wielkie znaczenie. [1])

Rusini są społeczeństwem nawskroś demokratycznym, które wykazało wielką żywotność i energję. O poszczególnych rusińskich partjach politycznych wypadnie mi jeszcze nieraz mówić na łamach *Prawdy*. Tu zaznaczę tylko ogólnie ich dążności narodowe.

Patryjoci rusińscy w odległych swoich pragnieniach dochodzą do koncepcji niezależnej Ukrainy, któraby połączyła w jedną całość trzy jej części: rosyjską, austryjacką i węgierską. Marzenia te jednak, nader trudne do urzeczywistnienia, i być może nieziszczalne poza i przed powszechno-europejską federacją— nie odgrywają roli w polityce bieżącej.

Specjalnie dla Galicji żądają oni podziału tego kraju na dwie części; zachodnią — polską, i wschodnią rusińską; rozumieją jednak, że i to żądanie nie da się urzeczywistnić w najbliższej przyszłości, chociażby dlatego, że do wschodniej części Galicji chcieliby dołączyć jeszcze rusińską część Bukowiny, tak jak Polacy pragnęliby, aby Śląsk cieszyński przyłączony był do ziem polskich, co vymagałoby gruntownej zmiany w ustroju całej Austrji. Na razie Rusini pragną przedewszystkim być gospodarzami w swoich sprawach i posiadać większy niż obecnie wpływ w instytucjach krajowych, co umożliwiłoby im osiągnięcie dalszych zdobyczy narodowych.

IV.

Potrzeby Rusinów są dwojakie: społeczno-polityczne i kulturalne. Zacznę od tych ostatnich. Widzieliśmy już, że Rusini mają za mało średnich zakładów naukowych, że brak im uniwersytetów, że każda zdobycz na polu oświatowym przychodzi im z wielkim trudem. Otóż zadosyćuczynienie powyższym potrzebom kulturalnym jest naglące. *Najlepiej uskuteczniony być ono może przez stworzenie odrębnego uniwersytetu rusińskiego oraz przez danie Rusinom oddzielnej Rady szkolnej, któraby skupiała w sobie kierownictwo nad rusińskimi niższymi i średnimi zakładami naukowymi.*

Istniejąca Rada szkolna krajowa, w której jest kilku zaledwie Rusinów, nie może zadowolić wymagań rusińskich. Zresztą lepiej jest, aby Polacy sami kierowali swoim, a Rusini swoim szkolnictwem.

W niektórych innych krajach austryjackich o ludności mieszanej są odrębne Rady szkolne dla każdej narodowości. Podział taki zapewniłby Rusinom znaczne korzyści, Polakom szkodyby nie przyniósł, a usunąłby mnóstwo niepotrzebnych starć narodowościowych istniejących obecnie.

Następnie powinien być przeznaczony pewien fundusz na cele kulturalne, którego część przeznaczona być powinna dla Rusinów do odpowiedniego, przez nich określonego zużytkowania. Pod względem polityczno-społecznym demokratyzacja sejmu i innych instytucji krajowych, oparcie ich na równym, tajnym, bezpośrednim i powszechnym prawie głosowania — jest pierwszym warunkiem zbliżenia się polsko-rusińskiego.

Jak już wspomniałem wyżej, Rusini są społeczeństwem demokratycznym i wszelkie przywileje kurjalne, cenzusowe i t. p. są dla nich szczególnie szkodliwe pod względem narodowym, usunięcie ich musi więc być punktem wyjścia wszystkich środków zmierzających do rozwiązania kwestji rusińskiej.

Dalej należałoby zapewnić Rusinom w tych powiatach, w których stanowią ogromną większość, nominacje urzędników — rodaków; dlatego zaś aby mogli mieć kontrolę pewną i gwarancję słusznego rządzenia krajem — należałoby przy namiestniku i marszałku, którzy są Polakami i stoją na czele władz państwowych i krajowych w Galicji, otworzyć posady wice — namiestnika i wice—marszałka dla Rusinów. Urzędnicy ci, wtajemniczeni w cały mechanizm administracyjny, mogliby baczyć, aby interesy Rusinów nie były naruszane. Sami nie mogliby decydować, ale wiedzieliby o wszystkim i pilnowaliby interesów rusińskich; byliby czymś w rodzaju ministrów bez teki w Wiedniu, jakich mają Polacy, Czesi i Niemcy.

Powyższe reformy możnaby i należało przeprowadzić natychmiast.

---

[1]) O rusińskim ruchu narodowym i o jego różnych przejawach czytelnicy mogą się poinformować z ciekawych broszur Michała Łozińskiego: „Ukraińatwo i Moskalofilstwo" i „Sorok lit dijalnosti Proświti."

Zachodzi teraz pytanie: czy zadowoliłyby one Rusinów, czy usunęłyby walki narodowościowe w Galicji?

Na pytanie powyższe trudno jest odpowiedzieć stanowczo. Nie sądzę, aby powyższe ustępstwa zadowoliły wszystkie stronnictwa rusińskie; aby doprowadziły do całkowitej zgody między walczącymi ze sobą narodami, a to dlatego: że zarówno wśród Polaków, jak i wśród Rusinów są nacjonaliści nieprzejednani, których trudno jest zadowolić. Przypuszczam jednak, że reformy powyższe odjęłyby walce narodowościowej w Galicji jej obecny ostry charakter, że otwierając szerokie pole dla rozwoju najliczniejszych warstw społecznych stworzyłyby im nowe horyzonty, że wreszcie wśród Rusinów powstałoby stronnictwo przyjazne idei porozumienia się i zbliżenia z Polakami, a raczej z polskimi żywiołami postępowymi; że wreszcie najlepsze żywioły polskie i rusińskie znalazłyby wspólny grunt dla pracy koło urzeczywistnienia najdalej idących ideałów społeczno-politycznych i kulturalnych.

Ale powiedzą mi: wszak Rusini chcą podziału Galicji na Wschodnią rusińską i Zachodnią polską, wszak chcą nas Polaków wyrzucić za San.

Niewątpliwie narodowcy rusińscy marzą o przyszłym państwie własnym, a jako jeden z etapów do niego uważają zdobycie odrębnego narodowego terytorjum w Galicji. Jednakże nie mogą oni tego nie rozumieć: że — gdyby nawet podzielić Galicję na Wschodnią i Zachodnią w warunkach obecnych, to i wtedy jeszcze żywioł polski w Galicji Wschodniej byłby bardzo silny, a posiadając znaczne środki materjalne wywierałby w kraju wpływ wielki; następnie nie mogą oni tego nie wiedzieć, że podział Galicji napotyka dziś na nieprzezwyciężone trudności ze strony Polaków. Natomiast wskazane wyżej reformy otwierają im szerokie pole dla rozwoju. Dziś zresztą trudno jest wyodrębnić ściśle terytorjum rusińskie.

Zresztą nie przesądzajmy odległej przyszłości. Jeżeli z czasem w Galicji Wschodniej rozwinie się przemysł, jeżeli ludność wiejska napływać będzie do miast, to przynajmniej część tych ostatnich ulegnie rutenizacji, tak jak miasta w Poznańskim dziś się polonizują; jeżeli wpływy ich w kraju wzrosną, jeżeli w powiatach rusińskich urzędnicy będą Rusini — to wówczas podział Galicji na Wschodnią i Zachodnią będzie ułatwiony. Najodpowiedniejszą chwilą dla niego byłby moment ogólnego przekształcenia Austrji na państwo federacyjne, składające się z poszczególnych terytorjów nie historycznych, lecz narodowych. Wówczas Polacy powinniby uzyskać przyłączenie do Galicji Zachodniej polskiej części Śląska.

Jeżeli w przyszłości istotnie rozwinie się w Galicji Wschodniej przemysł i jeżeli miasta się zrutenizują, to żadna siła nie będzie w stanie zapewnić Polakom panowania w całej Galicji, wówczas dla nich samych dogodniejszym będzie jej podział, lepiej jest bowiem, ze względów narodowych nawet, być decydującą siłą na mniejszym terytorjum, niż mieć fikcyjną władzę nad wielkim. Zresztą mogłyby tu być różne jeszcze kombinacje: być może że zachodnie powiaty Wschodniej Galicji wraz ze Lwowem zachowałyby jeszcze ludność polską w liczbie przeważnej i że terytorjum rusińskie obejmowałoby część tylko obecnej Galicji Wschodniej.

Wszystko to jednak jest kwestją dalszej przyszłości. Na razie reformy wyżej zaznaczone w niepodzielonej Galicji odpowiedziałyby najpilniejszym potrzebom ogromnej większości Rusinów i stworzyłyby grunt przyjazny dla wspólnej pracy dwu narodów oraz dla wszechstronnego rozwoju kraju. Do ich urzeczywistnienia należy też dążyć wszystkimi siłami.

Pomijając już względy sprawiedliwości społecznej, zrozumieć należy, że naród polski nie ma sił do powstrzymywania rozwoju narodu rusińskiego, że wreszcie nie jest w tym zainteresowany.

Czas ucieka, a walka narodowościowa tamuje rozwój kraju, trzeba więc ją—jeżeli już nie usunąć całkowicie, to złagodzić. Jeżeli chcemy wzmocnić nasz naród, zdobyć dla niego wpływ na inne sąsiednie a niżej kulturalnie od nas stojące, to osiągnąć to możemy przedewszystkim przez wzbogacenie kultury polskiej w najróżnorodniejszych kierunkach, przez podniesienie naszego narodu na wyższy stopień rozwoju.

Opieranie się żądaniom rusińskim nie osiągnie żadnego celu, opóźnić tylko może o 10, 15, a nawet 20 lat osiągnięcie przez Rusinów należnych im praw. Rząd centralny musi popierać żadania rusińskie dla dwu powodów: po pierwsze ze względu na spokój w państwie i jego wzmocnienie; po drugie dlatego, że przy ogólnej demokratyzacji Rusini muszą uzyskać coraz więcej koncesji, gdyż klasyfikacja narodów w państwie na uprzywilejowane i upośledzone utraci grunt. Zresztą rząd centralny dąży do uniezależnienia się od Koła polskiego i dlatego jeszcze dogodnie mu jest popierać Rusinów.

Jeżeli zaś, prędzej czy później, żądania rusińskie muszą być zaspokojone, to, z punktu widzenia interesów polskich—lepiej jest uczynić im zadość wtedy, kiedy Polacy posiadają w monarchji duże znaczenie, niż odkładać na później, nie wiedząc naprzód przy jakich okolicznościach trzeba będzie zrobić te ustępstwa.

Mogą zajść zresztą takie okoliczności w stosunkach międzynarodowych, przy których Polacy będą musieli w Galicji rozpocząć szerszą akcję polityczną obliczoną nie tylko na Austrję, i kiedy akcja ta wymagać będzie „spokoju w domu."

Z drugiej strony Rusini uzyskawszy ustępstwa o których wspomniałem wyżej, widząc, że wszechstronny ich rozwój w Galicji jest pewny — potrafią to ocenić należycie.

Nieszczęściem naszym jest, że poddajemy się frazesom i nie umiemy trzeźwo patrzeć na wypadki.

Obecnie w Galicji żadne stronnictwo prócz socjalistycznego nie ma żadnego programu w kwestji rusińskiej. Socjalistyczne zaś posiada w tym względzie program dalszy tylko.

Narodowi demokraci dużo mówią o katastrze, ale: po pierwsze nie określają go bliżej, a w danym razie wszystko zależy właśnie od tych szczegółów; po drugie zaś sam kataster nie rozstrzyga jeszcze o stosunkach polsko-rusińskich. W artykule niniejszym dałem tylko ogólny zarys reform w dziedzinie stosunków polsko-rusińskich; o szczegółach będę jeszcze miał sposobność mówić nieraz.

W czasach ostatnich rząd centralny straszył nieraz Koło polskie kwestją rusińską, ilekroć domagało się ono natarczywie koncesji na rzecz Galicji. Koło polskie z obawy przed „niebezpieczeństwem rusińskim" miarkowało czasem swoje żądania. Nad szkodliwością zaś tego niema co się rozwodzić. Oby społeczeństwo polskie w Galicji, chociażby tylko w pewnej części, zrozumiało nareszcie teraz, że należy zreformować stosunki polsko-rusińskie. Niestety nie zanosi się na to obecnie.

Ludwik Kulczycki.

W Rosji.

W chwili, kiedy ministerjum skarbu usilnie szuka sposobów powiększenia dochodów i ograniczenia zbytecznych wydatków, ujawniają się coraz nowe fakty albo nadużyć, albo zupełnie zbytecznych wydatków, których można byłoby wybornie uniknąć przy innej organizacji gospodarczej. Po nadużyciach w intendenturze zwrócono obecnie uwagę na zdzierstwo syndykatu węglowego „Produgol", który ogarnął 75% całej produkcji węgla na południu Rosji. Obecnie przy dostawie węgla na potrzeby skarbu państwa syndykat niesłychanie podniósł ceny do tego stopnia, że już rada ministrów zaniepokoiła się tą sprawą.

Nie jest to wszakże świeże i nowe zjawisko. Olbrzymi syndykat węglowy w Rosji istnieje już oddawna i rośnie z dniem każdym bez żadnych przeszkód, czerpie zaś ogromne sumy z funduszów skarbowych, dzięki temu, iż państwo jest największym odbiorcą, szczególnie zaś ministerjum komunikacji.

Już oddawna potężni przedsiębiorcy tuczą się na zamówieniach skarbowych, do czego ogromnie się przyczyniło faworyzowanie i popieranie syndykatów przez rząd. Pomiędzy przedstawicielami syndykatu a przedstawicielami biurokracji rządzącej nawiązały się oddawna ścisłe węzły zażyłości, a to pociąga za sobą pewne ustępstwa i pobłażliwość. I oto, dzięki temu „Produgol" zapanował dziś wszechwładnie na rynku i dyktuje dowolne ceny. W ostatnich czasach podniósł cenę o 2 kop. na pudzie. Ponieważ zaś ministerjum komunikacji zużywa przeciętnie około 400 miljonów pudów węgla rocznie, więc przepłaca obecnie około *ośmiu miljonów.* Ale nie na tym koniec. Obliczywszy zapotrzebowania jeszcze innych przedsiębiorstw skarbowych, przekonamy się, że skarb państwa przepłaca na rzecz możnowładców przemysłowych parę dziesiątków miljonów rubli, czyli pośrednio ponosi takie straty ludność, zasilająca skarb państwa. Ale ta ludność i bezpośrednio ponosi także olbrzymie straty, dzięki wszechwładztwu syndykatu węglowego na rynkach. Wysokie, niepomierne podniesienie cen węgla wyciąga setki miljonów rubli z kieszeni ludności, i to rubli przepłaconych na rzecz miljonerów i miljarderów węglowych. Pieniądze te nawet nie pozostają w kraju, bo owi wielcy przedsiębiorcy węglowi są to przeważnie akcjonarjusze obcokrajowi. Wielki syndykat „Produgol" składa się przeważnie z francuskich towarzystw akcyjnych i nawet główny zarząd syndykatu ma swoje *locum* w Paryżu. Tym sposobem „Produgol", dzięki olbrzymiemu udziałowi kapitałów zagranicznych, stanowi potężną siłę nietylko ekonomiczną, ale i polityczną.

Łatwo teraz zrozumiemy, jak trudno jest obecnie gospodarce państwowej wyłamać się z zależności tego kolosa, który tak głęboko i szeroko zapuścił ssawki swoich licznych ramion. Polityka ekonomiczna, polegająca na popieraniu syndykatów, zbyt drogo kosztuje!

Według doniesień prasy rosyjskiej, w gabinecie ministrów całą winę popierania syndykatu przypisują Ruchłowowi i jego towarzyszowi, Miasojedowowi. Ale ta wina może być tylko częściowa, tradycyjnie im przekazana, bo jeszcze przed nimi monopoliści węglowi korzystali z szerokiego poparcia p. Szaufusa. Nawet jeszcze dawniej działo się to samo. Od lat dziesięciu ministerjum komunikacji hojnie ich tuczyło swoimi zamówieniami. I oto naraz syndykat wpadł w niełaskę. Przebrała się miarka, albo coś się popsuło w stosunkach wzajemnych. Gdyby jednak ta niełaska była zapowiedzią zmiany polityki ekonomicznej względem wielkich monopolistów przemysłowców, można byłoby ten objaw powitać z radością, jako dążność do ukrócenia zanadto rozwielmożnionych syndykatów wogóle. Na to jednakże się nie zanosi i raczej spodziewać się należy, że stosunki wielkiego odbiorcy z wielkim wytwórcą ułożą się w dalszym ciągu w sposób wypróbowany. Odbiorca będzie musiał się poddać wytwórcy i przyjąć jego warunki, nawet nie będzie mógł skorzystać z rady, udzielanej przez niektóre pisma rosyjskie, ażeby ministerjum zniosło cło na węgiel zagraniczny, bo skarb, w znacznej mierze uzależniony od finansów zagranicznych, nie może walczyć taką bronią z kapitalistami zagranicznymi, którzy pod opieką rządu rosyjskiego stworzyli na południu Rosji olbrzymi syndykat węglowy.

Zresztą zbyt dużo jest do zwalczenia innych szkodników. Jeszcze dotąd nie uporano się z intendenturą, która na całej przestrzeni państwa poczyniła olbrzymie spustoszenie. Niełatwa to sprawa „oczyścić" do gruntu taką instytucję, która przez długi szereg lat oczyszczała kasę skarbu z wielką krzywdą setek tysięcy żołnierzy. Jaka to była wielka i planowa organizacja nadużyć, dowodzi osobliwa instytucja, którą wykryła rewizja senatorska w Petersburgu. Było to „Biuro wybawienia", trudniące się wybawianiem łapowników intendentury moskiewskiej od grożących następstw ze strony tych, którzy mieli ręce czyste i łapówek nie przyjmowali. Biuro to, jak stwierdziła komisja Garina, miało szeroko rozgałęzione stosunki w wyższych sferach. Za pośrednictwem tej „instytucji" usuwano „niewygodnych" urzędników pod jakimkolwiek pozorem; wyższych zaś i wpływowych urzędników przenoszono w drodze awansu na inne miejsce. Pomoc „Biura wybawienia" była dość kosztowna, wynosiła najmniej 10 — 15 tysięcy rubli, zależnie zarówno od osoby, którą trzeba było z danej posady usunąć, jak i od „szkody" wyrządzonej łapownikom. Najczęściej wyrzucany z posady lub gwałtownie faworyzowany urzędnik nie wiedział czemu ma przypisać zmianę dla niego smutną lub pomyślną. Organizacja biura, na którego czele stał agient towarzystwa ubezpieczeń „Rosja", działała cicho, sprawnie i niezawodnie.

Takie wrzody gangrenujące wykryto na organizmie gospodarki państwowej i zdawałoby się, że to właśnie powinno wstrząsnąć duszą patryjotów rosyjskich i wywołać jakiś silny odruch ratunkowy. Ale nie takimi drogami chodzi ów patryjotyzm i nie to go boli. Widzi on niebezpieczeństwo gdzieindziej i organizuje samoobronę. Postanowiono zwołać w Moskwie „Zjazd działaczów i robotników wszystkich partji, jednakowo myślących i działających prawosławnie i narodowo-monarchicznie". Głównym powodem tego zjazdu jest systematyczne, stałe zarażanie się Rosji konstytucjonalizmem, o czym świadczą takie fakty, jak prawo o wyznaniach, „oburzająca podróż Milukowa, Guczkowa i Chomiakowa do Anglji, ich tam mowy" i t. d. Komitet organizacyjny zjazdu podaje do wiadomości publicznej, że głosowanie będzie się odbywało nie w imieniu partji lub oddziałów, ale w imieniu każdego członka zjazdu. Tym sposobem każdy będzie wyrazicielem tylko własnego zdania. Jednocześnie ma się odbyć zjazd prasy prawicowej i „Związku literackiego prawosławno-misjonarskiego".

Oto są sprawy, które mają być poruszone na zjeździe: 1) wyznaniowa i cerkiewno-parafjalna; 2) szkoła, 3) prasa, 4) sprawy rolne, 5) urządzenia państwowe, 6) zasady działalności związków prawicowych. W zjeździe tym między innymi wezmą udział: ks. M. L. Szachowskoj i niestrudzony Puryszkiewicz.

Niewątpliwie będzie tam także poruszona sprawa walki z socjalizmem, zapoczątkowana przez synod. Pomysł polega na tym, ażeby znaleźć takiego specjalistę, któryby potrafił opracować podręcznik, druzgocący podstawy socjalizmu. Da on możność wprowadzenia do programu seminarjów duchownych nowego przedmiotu: „zbijania zasad socjalizmu". W tym celu św. Synod dwa razy już się udawał do profesorów akademji duchownej w Petersburgu z propozycją opracowania takiego podręcznika, ale, niestety, dotąd nikt się nie czuje na siłach.

Zjazd prawdopodobnie będzie miał również poważne troski z powodu obcych wyznań. W departamencie właściwym obecnie są rozpatrywane etaty seminarjów duchownych katolickich; przyczym, jak donosi *Riecz*, zwrócono uwagę na konieczność zaprowadzenia ścisłej kontroli nad duchowieństwem katolickim, zwłaszcza zaś nad wykładem przedmiotów po rosyjsku. Nadto, podkreślono konieczność zupełnej reformy wykładów. Do departamentu wyznań obcych napływają doniesienia ochotników-kontrolerów („dobrowolnych nabludatielej") — zapewne przyszłych uczestników zjazdu czarnosecinnego, — którzy przestrzegają przed groźnym niebezpieczeństwem: „semi-

narja katolickie ze swych systemów nauczania przypominają średniowieczne szkoły scholastyczne z zasadami jezuickimi i dążnościami politycznymi a uczniom są wpajane doktryny religijno-polityczne, których zasadniczym dogmatem jest nienawiść do *moskali-schizmatyków.*"

Mają tedy niemało pracy „sojusznicy". A oto jeszcze przybyła jedna ważna robota. Duchowieństwo prawosławne w djecezji Kijowskiej, jak donosi *Kijewskaja Myśl*, zaniepokojone projektem wprowadzenia ziemstw na Rusi, wystąpiło otwarcie z silną agitacją na rzecz żywiołów „czysto rosyjskich". Kampanja jest prowadzona głównie przeciw żywiołowi polskiemu w ziemstwach. Przytym duchowieństwo konserwatywne agituje zarówno słowem żywym jak i drukowanym. Na łamach *Kijewskich Eparchjalnych Wiedomosti* agitatorowie gorąco radzą całemu duchowieństwu skorzystać z warunków sprzyjających, „ażeby na każdym kroku w prywatnych stosunkach służbowych wyjaśniać włościanom ich czysto rosyjskie obowiązki narodowe i wskazywać to niebezpieczeństwo, które im grozi w tym wypadku, jeżeli żywioł polski przeważy w przyszłych instytucjach ziemskich".

Agitacja ta, jak widzimy, przybiera charakter czysto demagogiczny, nawet bardzo ryzykowny.

Wogóle na Rusi śród ludzi „iście-rosyjskich" rozwija się coraz silniejsza agitacja przeciwko żywiołowi polskiemu, a *Kijewlanin* nawołuje do połączenia wszystkich sił rosyjskich przeciwko „najściu polsko-żydowskiemu". W tym celu już nawet powstał oddział Związku narodu rosyjskiego w Kamieńcu Podolskim. Istnieje gazetka *Żizń Wołynia*, która śledzi i alarmująco obwieszcza wszelkie objawy „niebezpieczeństwa polskiego". Niedawno w witrynie pewnego sklepu jubilerskiego w Żytomierzu ta służebnica policji znalazła groźne dowody tego niebezpieczeńtwa: broszki, szpilki i kolczyki z orłami jednogłowymi.

Oto jakimi sprawami zajmują się czarne seciny i jakimi drogami dążą do ratowania zagrożonej ojczyzny! Ale wskazywanie policji niebezpiecznych jubilerów to jeszcze nie jest dostateczny dowód miłowania ojczyzny. Należałoby jeszcze stworzyć jakieś swego rodzaju „Biuro wybawienia". Niech o tym pomyślą wolontarjusze i przednie straże związkowców na „okrainach".

Paweł Krzyżanowski.

Kongres Wolnej Myśli.

Bruksella. Wrzesień.

„Federacje narodowe, Stowarzyszenia, Koła, Grupy rzeczników Wolnej Myśli ze wszystkich krajów — przygotowujcie się do *Kongresu Wszechświatowego*, który odbędzie się w Brukselli w r. 1910, dla uczczenia trzydziestolecia *Międzynarodowej Federacji Wolnej Myśli.*

Trzeba aby Zjazd ten był olbrzymią manifestacją, stwierdzającą iż *myśl niepodległa* stała się potężną dźwignią nowoczesnej cywilizacji i etyki.

Rzecznicy Wolnej Myśli stawcie się wszyscy w Bruksellі w r. 1910!"

Odezwę tę wręczano wraz ze „sprawozdaniem" uczestnikom belgijskiego *Kongresu Wolnej Myśli*, który się odbył w Bruksellі w sali du Cygne w d. 14 września roku bieżącego.

Był to doroczny zjazd tak zwanej: „Fédération des Sociétés Belges de Libre Pensée."

Przewodniczący Jan Robyn zagaił posiedzenie naszkicowaniem ogólnego zarysu jubileuszowej uroczystości. Zbiega się ona z dwudziestą piątą rocznicą narodzin Federacji belgijskich stowarzyszeń, liczących w obecnej chwili imponującą ilość 18,500 członków. Słusznie też przypada Belgom zaszczyt zorganizowania wielkiego „święta światła."

Aby wywiązać się godnie z zadania, rozpoczęto już pracę przygotowawczą. Musi się ona liczyć z trudnościami technicznymi, związanymi z podejmowaniem spodziewanych *tysięcy*. Federacja Międzynarodowa Wolnej Myśli posiada bowiem liczne zastępy zorganizowanych członków we wszystkich niemal krajach Europy, w Ameryce Północnej i Południowej, w Indjach i Egipcie. Rewolucja ideowa przenikać zaczyna i do krain Buddy i świata Islamu.

Ze względu na mającą się odbyć w roku przyszłym w Bruksellі *Wystawę powszechną*, należy przygotować dla tłumnego prawdopodobnie napływu cudzoziemców odpowiednie kadry. To też sekretarz *Biura Międzynarodowego Wolnej Myśli*, p. Leon Furnemont (deputowany belgijski) ma już roboty po uszy. Biuro, mieszczące się w Brukseli przy ulicy Remblai 50, wysyła na żądanie szczegółowe wskazówki i informacje. Jak nas objaśniono praktyczni Czesi prowadzą już od kilku tygodni ożywioną korespondencję w sprawie przyszłorocznych odwiedzin. Wybiera się ich spora gromadka: przeszło dwieście osób wraz z niestrudzonym sekretarzem czeskiej *Volné Myszlenky* dr. Teodorem Bratosek.

Obrady belgijskiego *Kongresu* — po naszkicowaniu wytycznych linji „jubileuszu" — potoczyły się wokoło spraw wewnętrznych, krajowych. Dało to możność (nielicznym zresztą) korespondentom dzienników zagranicznych przypatrzenia się „robocie po wszedniej" belgijskich „Libre — Penseurs."

Delegaci poszczególnych związków prowincjonalnych składali raporty obrazujące całoroczną działalność danej grupy.

Zanim pełny program radykałów — przeprowadzenie rozdziału Kościoła od Państwa—wejdzie w życie, przygotowuje się grunt do tej reformy przez stopniowe wypieranie duchowieństwa z zajmowanych do niedawna placówek.

Ostra walka rozwija się na całej linji.

Wojuje się nie słowem lecz czynnym przeciwstawianiem instytucjom klerykalnym — zakładów świeckich.

Żywioły wolnomyślne — dążące do laizacji szkół, szpitali i przytułków dobroczynnych — zakładają przy pomocy ofiarności prywatnej lub subwencji (udzielanych przez liberalne „Rady miejskie") różnego rodzaju instutucje „niezależne." Istnieje już w Belgji sporo szkół prowadzonych w duchu nowoczesnych wymagań. Wypieszczonym dzieckiem Wolnej Myśli jest tak zwany „Orphelinat Rationaliste", pierwszy postępowy dom wychowawczy dla sierot. Wykwalifikowaną służbę zdrowia przygotowuje wzorowa „Szkoła pielęgniarstwa", założona z inicjatywy Federacji wolnomyślnych w celu zastępowania opieki sióstr pracownikami zawodowymi.

Oczywiście wszystkie te usiłowania spotykają się z prześladowaniem ze strony duchowieństwa. Propaganda klerykalna szerzy się nietylko przy pomocy kazalnicy i konfesjonału, wciska się ona we wszystkie dziedziny życia pod płaszczykiem dobroczynności, ruchu współdzielczego, organizacji robotniczych i t. d. Kler pragnie jednak przedewszystkim opanować szkolnictwo, wychowywać lud na powolne sługi Kościoła. Uwydatniło się to w całej pełni na odbytym świeżo zjeździe katolickim w Malines, gdzie domagano się, aby nowe prawodawstwo dało szkole początkowej charakter narodowy *w duchu prawdziwie belgijskim to jest katolickim.*"

Jeden z mówców „Kongresu Wolnej Myśli", Marechal, zwracając uwagę uczestników na „czarne niebezpieczeństwo", dowodził, iż nie dość jest: „manger

du curé, mais qu' faut le renverser" (nie wystarcza klerowi dogryzać, trzeba go obalić).

W myśl tę przypominał, iż zbliżające się w Belgji wybory dają sposobność do wyrwania z rąk konserwatystów władzy, którą dzierżą od lat 25. Żywioły postępowe w celu zdobycia szerszego udziału w przedstawicielstwie parlamentarnym winny zespolić swe szeregi w zbliżającej się kampanji wyborczej i, bez względu na antagonizmy klasowe, iść zwartą ławą do ataku przeciw *wspólnemu* wrogowi — reakcji katolickiej.

Przemówienie to, przyjęte przez liberałów i socjalistów objawami uznania, nie podobało się obecnym na sali anarchistom.

Jeden z „leaderów" tej grupy, Chapeliez — dowcipny i cięty rezoner — protestował przeciwko rzucaniu Wolnej Myśli na szalę agitacji wyborczej.

„My, anarchiści — mówił — stawiamy Myśl Niepodległą na szczytach niedostępnych dla wszelkich nakazów, nietylko dogmatu ale i... polityki. Idzie nam o tryumf idei, a nie o kaptowanie głosów na listy kandydatów liberalnych."

W obronie parlamentaryzmu i kampanji wyborczej wystąpił długoletni członek partji socjalistycznej, sympatyczny „robociarz" belgijski Maigret. Dowodził on, że „idee" dla swobodnego rozwoju potrzebują odpowiednich warunków" — „a te" — dodał dosadnie: „zdobędziemy pozbywając się obecnego rządu reakcyjnego, który jest jednym z najbardziej nieludzkich rządów na świecie."

Słowa te, wywołujące uśmiechy na usta cudzoziemców, spotkały się z żywym oklaskiem kongresowiczów.

Co prawda, goręcej jeszcze przyjmowali oni przemówienie Rensu, który słał imieniem zgromadzenia wyrazy sympatji: „dzielnym buntownikom z Barcelony i Katalonji", piętnował „barbarzyńską represję religijną, prowadzącą Hiszpanję do nędzy i ciemnoty" — domagał się uwolnienia Ferrera: „wielkiego reformatora wychowania, inicjatora pięćdziesięciu szkół radykalnych, którego prześladowanie jest prześladowaniem wolności sumienia i poszukiwania prawdy."

Ciekawa dyskusja toczyła się na temat, poruszony jak wiadomo równocześnie niemal na ostatnim zjeździe socjalistów niemieckich. Zastanawiano się nad tym — czy religja może być uważaną za sprawę prywatną, osobistą, a tymsamym poufną i nietykalną czy też za „program społeczno-polityczny", który w rękach duchowieństwa staje się siłą wojującą, rozsadnikiem ciemnoty, tamą przeciwstawiającą się rozwojowi wiedzy, demokracji i wszelkich reform społecznych.

Z toku obrad wyłoniła się żywotna kwestja „zadań i programów szkoły przyszłości."

Po żywej wymianie zdań pedagodzy przekonali polityków, iż „nowa, wolna szkoła" nie może połowicznie a trwożliwie uprawiać eklektyzmu pod rozciągliwym hasłem: *neutralności.*

Neutralność to utopja nie dająca się w życiu przeprowadzić. Podstawy wychowania racjonalnego należy budować śmiało, otwarcie na zasadach etyki niezależnej. Obok rozwijania myśli samodzielnej i krytycznej trzeba rozbudzać i kierować uczucie ku ideałom humanitarnym, dążącym do powszechnego dobra i odrodzenia ludzkości.

W końcu *Kongres*, uważający się za „organ sumienia zbiorowego", rozpatrywał szczegółowo obowiązki, od których nie może się uchylać szermierz stający pod sztandarem Wolnej Myśli. Referent Marchal wyłożył pewnego rodzaju lekcję poglądową wolnomyślnej polityki realnej. Piętnując ostro oportunistów, cofających się trwożliwie przed czynnym stwierdzaniem swych zasad, przypominał, iż powinnością wyznawcy Wolnej Myśli jest: — *w życiu prywatnym* zastępowanie ceremonji kościelnych aktami cywilnymi, wychowywanie dzieci w duchu swych przekonań i t. d. — *w życiu publicznym* przedstawiciel belgijskiej Federacji de la Libre Pensée winien: „głosować przeciwko budżetowi wyznań, — dalszemu utrzymywaniu ambasady belgijskiej przy Watykanie,—przeciwko uwalnianiu księży od powinności wojskowej i udzielaniu subwencji zakładom klerykalnym."

Za kulisy tych zakładów wprowadził nas przejmujący referat p. Vertongena. Malował on w jaskrawych barwach wyzysk dzieci i dziewcząt, zatrudnianych w szkołach zawodowych, kryjących się przed czujnością kontroli publicznej w bezkarny cień opieki klasztornej.

„Szkoły" te są to właściwie warsztaty przynoszące Kościołowi znaczne korzyści, osiągnięte kosztem bezpłatnej a wyczerpującej pracy wychowanek, zaprzęganych do orki począwszy od lat 4.

Kongres piętnując niezdrową konkurencją przemysłu klasztornego zakończył swe posiedzenie ogłoszeniem bojkotu wyrobów „obniżających cenę robocizny do ostatecznych granic."

Trudno w dorywczym sprawozdaniu wyczerpać całą treść obrad, których część zajmowała się sprawami czysto lokalnymi. Dodam tylko, iż pomiędzy innymi wzięto pod uwagę wniosek jednego z korespondentów czeskich, domagający się uwzględnienia w przyszłorocznym zjeździe języka „Esperanto" jako środka pomocniczego przy porozumiewaniu się „różnojęzycznych" uczestników. Spóźniona pora nie dozwoliła na powzięcie ostatecznej w tej sprawie uchwały.

Uczestnicy *Kongresu* otrzymali na pożegnanie miłą pamiątkę: Rocznik Ilustrowany za rok 1909, wydany staraniem Międzynarodowej Federacji. Znajdujemy tu na honorowym miejscu portret zeszłorocznego jubilata A. Świętochowskiego wraz z oceną działalności „pionjera pozytywizmu, burzyciela przestarzałych wartości, wprowadzającego życie umysłowe kraju na tory nowoczesnego rozwoju."

W roczniku wymieniono wybitniejszych działaczy oraz placówki wolnej myśli w Polsce, zaliczając do nich i *Prawdę.* Rzut oka na rozwój myśli niepodległej w Polsce skreślił Andrzej Niemojewski.

Orka.

NA DOBIE.

Święto nauki.

Od lat wielu po raz pierwszy liczne grono uczonych polskich zgromadziło się w Warszawie. Zjazd neurologów i psychologów jest pierwszym świętem nauki w naszym smutnym mieście, którego nazwę „miasta analfabetów" — wylegitymowano kolumnami przerażających cyfr. A jakkolwiek ogromna jest przepaść dzieląca upośledzonego analfabetę od profesora uniwersytetu lub uczonego badacza, jakkolwiek oświata szerokich mas stanowi osobną kwestję społeczną, a osobną rozkwit wiedzy — to jednak istnieje między jednym i drugim zagadnieniem ścisły związek — tylko dla krótkowidzów niedostrzegalny.

Jesteśmy w tym samym stopniu pokrzywdzeni w jednej i drugiej dziedzinie. Brak oświaty odczuwają dotkliwie wszyscy i dlatego też ta sprawa jest jasna, powszechnie zrozumiała i wydaje się donioślejsza. Nasze umysłowe ubóstwo, zastój, nasz brak ognisk naukowych mniej uderza—a jednak stanowi nie mniejszą klęskę. Jak lud nasz emigruje za granicę po zarobek, młodzież po wykształcenie, tak i nasi uczeni, najtęższe, najsamodzielniejsze umysły twórcze i ba-

dawcze muszą opuszczać ziemię ojczystą i szukać na obczyźnie warunków umożliwiających im pracę, dla której stworzeni zostali.

Nasze wielkości, nasze sławy żyją wśród obcych i tylko tym obcym zawdzięczają, że pracować mogą. Nie powiemy, że pracują dla obcych; kraina wiedzy jest wspólnym międzynarodowym dziedzictwem całej ludzkości i każdy naród ją bogacić, każdy z niej czerpać może. Nie ich winą więc lecz naszym nieszczęściem jest, że większość z pośród nich tylko jako gości widujemy, a na maleńką garstkę tych, którzy tu na miejscu w najnieprzyjaźniejszych warunkach, z największymi indywidualnymi ofiarami służbę kapłańską u ołtarza wiedzy pełnią, z tym większą czcią patrzeć musimy, że nietylko głową lecz charakterem nasz przeciętny tłum przerastać muszą.

Gdybyśmy mogli w naszym ponurym zakątku jasne ogniska nauki rozniecić, gdybyśmy mogli zatrzymać tych czcicieli światła na stałe między sobą — jakże inaczej wyglądałoby nasze życie! Ileż jasności przybyłoby w każdym zakątku, jakżeby się rozświetliło w głowach, jakżeby szybko odpadała ta pleśń zastoju, która nasze cztery ściany obrosła! Światło jest najlepszym środkiem antyseptycznym. W atmosferze przesiąkłej miazmatami zgnilizny do światła wyciągają się ramiona miłośników lepszego jutra. Może nasi czcigodni goście wniosą w naszą chatę choćby tę zbawczą tęsknotę, to twórcze pragnienie, z którego się rodzi brzask nowy.

Nad grobem Żyda—Polaka.

Dnia 10 b. m. na cmentarzu żydowskim w Warszawie odsłonięto pomnik Henryka Wohla w obecności tłumnych zastępów inteligiencji polskiej wszelkich wyznań, obywateli kraju—zarówno aryjskiego jak i semickiego pochodzenia.

Byli wśród nich dawni towarzysze zmarłego, których głowy siwizną przypruszone przechowały w pamięci obraz cnót obywatelskich, czynów cichych a ofiarnych, które należą do historji, choć historja o nich milczeć musi. I uroczystość sama odbyła się w milczeniu; słowa pośmiertnego hołdu nie brzmiały nad grobowcem, choć wyrazy niewypowiedziane budziły we wszystkich sercach wspomnienia niezatarte tych chwil, gdy miłość wspólnej ojczyzny jednoczyła serca wszystkich jej dzieci węzłem równości i braterstwa, zacierając w ich świadomości różnice stanów, wyznań, nazwisk, pochodzenia.

Niestety! Chwile te już minęły; niestety, tradycje ich zatracać się zaczynają, zacierane rozmyślnie przez tych, którzy w fanatycznym zaślepieniu z posiewu nienawiści i nacjonalistycznego egoizmu plony pomyślności zbierać roją.

Tłumy publiczności polsko-aryjskiej zgromadzone na cmentarzu żydowskim były żywym świadectwem nastroju społeczeństwa polskiego, które skutecznie broniło się i broni przed propagandą przesądów antysemickich, wierne hasłom tolerancji, którym hołdowało w najpiękniejszych okresach swego rozwoju. Nie na nie spada odpowiedzialność za wzniecane wśród niego antagonizmy rasowe, za wskrzeszanie wszystkich tych haseł walki, które już pod ożywczym wpływem kultury i oświaty albo były ucichły, albo stawały się wołaniem na puszczy — jak tego dowodziły wypadki lat minionych. Każdy, kto jego niedolę podziela, jego świętości uczci i ukocha, każdy nawet, kto tylko uszanuje jego uczucia, jego dążenia, jego moralne prawa — na bratnią wzajemność, na szczery jego szacunek liczyć może Oto co mówiły w swym skupionym milczeniu rzesze zebrane u pomnika Henryka Wohla.

Zauważono, że choć istnieją w polskim tłumaczeniu śpiewy żałobne żydowskie za zmarłych — nad grobem Wohla śpiewano tylko po żydowsku. Mówiono także, że obecny kaznodzieja—jako sjonista—nie mógłby był wygłosić nad grobem zmarłego mowy, któraby wiernie odtwarzała charakter jego zasług i działalności.

I może rodziło się wobec tego pytanie, kto z uczestników uroczystego obchodu był nieboszczykowi *obcym* a kto *swoim*? Czy blizcy krwią a cudzoziemcy z ducha, czy ludzie odmiennej rasy a duchem zbratani?

Odczyt o Juljuszu Słowackim.

W dniu 9 b. m. w Sali Techników odbył się odczyt p. Wacława Makowskiego urządzony staraniem Polskiego Związku Nauczycielskiego.

Nie zgadzając się zasadniczo na punkt widzenia, z jakiego ujął twórczość Słowackiego prelegient, który do poety przykładał miarę człowieka czynu a stąd niekiedy sądził go jednostronnie, podajemy poniżej treść odczytu. Wzbudził on żywe zainteresowanie i zgromadził liczny zastęp słuchaczy chcących w ten sposób uczestniczyć w złożeniu hołdu pamięci poety.

Z wychowania i ducha należał Słowacki do romantyków. to jest do ludzi, dla których życie z jego nędzą i szarzyzną było cierpieniem prawie nad siły; — by je znieść, musieli oni odgradzać się od rzeczywistości, tworzyć sobie tęczową krainę marzeń, ideałów i piękna.

Słowacki wychowany wsród trzech kobiet, wysubtelniony duchowo nie umiał nawiązać nici pomiędzy marzeniem i rzeczywistością, to też trzymał się zdala od burz, jakie ówczesna młodzież przechodziła. Zarówno więc w Wilnie w 23 roku, jak i w Warszawie w 30 Słowacki obcy pośród rówieśników, zatopiony w poezji, miast czynu niesie ojczyźnie pieśń swoją.

Dopiero przymusowe opuszczenie ojczyzny bez możności powrotu stanowi chwilę przełomową w twórczości Słowackiego. Poczucie strasznej krzywdy narodowej, jaką jest utrata bytu niezależnego przenika do jego świadomości. Marzy o wielkim przewrocie dziejowym. Ujmuje te marzenia na swój sposób i tworzy własny systemat filozoficzny, oparty na konieczności ofiary jednej potężnej duchem istoty, którąby poświęciła się dla szczęścia i życia innych. Wówczas tworzy Kordjana, który jednym uderzeniem sztyletu ma zmienić postać swiata. Lecz Kordjan czynu tego nie spełnia, waha się, marzy...

Później w myśli Slowackiego powstaje pojęcie ofiary niekrwawej, ofiary Anhellego, który bierze na siebie cierpienie ludzkości, by okupić dla niej szczęście. Taką drogą pojedyńczych wysiłków duchówtytanów szedł według Słowackiego rozwój ludzkości, tą drogą też iść musi ku zbudowaniu Królestwa Bożego, na ziemi.

Nie w braterstwie ludów, w solidarnym wysiłku mas — jak Mickiewicz—pokładał nadzieje Słowacki.

Według niego ludzkość wejdzie i wejść musi na inne tory, ale będzie to dziełem wybrańców, duchów królewskich!

Ta zasadnicza różnica między nim a Mickiewiczem tkwiła w samym rdzeniu jako duchowej organizacji. Słowacki był zawsze sam, nie rozumiany przez współczesnych i nie rozumiejący ich; nigdy nie brał udziału w życiu, to też i na emigracji nie zbliżył się do innych wychodźców; w samotności tworzył syntezę swych pojęć, a wcielał je w swoje dzieła. Pojęcie ofiary wije się niby złota nić po przez wszystkie utwory tej drugiej epoki twórczości Słowackiego, jest ona ukryta nawet w pozornie zupełnie z nią nie związanych dramatach, przenika Kordja-

na, Anhellego, występuje jawnie w Śnie Srebrnym Salomei i Samuelu Zborowskim, ale kulminacyjnego napięcia dosięga w Królu Duchu. Słowacki przez całe życie gromadził w duszy swej cierpienie, przeżywał je w sobie i jako syntezę swych uczuć stworzył w Królu Duchu nową i własną „dobrą nowinę". Czym stałby się Król Duch ukończony, trudno przewidzieć; fragmenty wskazują, że dzieło to nie na ludzką było przykrojone miarę. Przeciągnięte struny duchowe pękły, królewski duch uleciał, nie wypowiedziawszy swego ostatniego słowa.

Odczyt, zamknięty w granicy godzinnego przemówienia—nie dał, bo dać nie mógł całkowitego ani nawet przybliżonego pojęcia o twórczości Słowackiego. Z konieczności ślizgać się musiał po powierzchni przedmiotu, lecz ujęty był w tak piękną i przystępną formę, wypowiedziany tak ładnie, że słuchało się go z zapartym oddechem, a chwila uroczystego milczenia, jaka poprzedziła oklask po skończeniu odczytu, jest najwyższą pochwałą dla mówcy.

A. S.

Kosfiskata.

Książka A. Niemojewskiego, p. t. „Bóg Jezus" została skonfiskowaną wskutek zbiorowego donosu częstochowskich dewotek.

Jest to pierwszy u nas fakt konfiskaty dzieła naukowego. Dotąd puszczano z aprobatą cenzury w obieg księgarski przekłady Renana, Straussa, Volersa i innych. Wychodziły i dzieła naukowe oryginalne z tej samej dziedziny zarówno przed manifestem październikowym jak i po nim. Doszły nas wieści, że ze strony klerykalnej wywierano silny nacisk na sfery oficjalne. Przeciw konfiskacie wniesiono apelację i jest wielkie prawdopodobieństwo, że zostanie odwołaną.

BADANIA NAUKOWE.

Dzieło Andrzeja Niemojewskiego p. t. „Bóg Jezus".

(Dokończenie).

Rozdział p. t. „Imiona" zawiera opartą na głębszych studjach analizę jednego z najciekawszych zjawisk w świecie wierzeń, a mianowicie: przemieniania różnego rodzaju nazw na imiona własne przy przenoszeniu ich z jednych języków do drugich (np. „tora" czyli „góra" staje się imieniem własnym „Tor", słowo christos, czyli „pomazany" — staje się imieniem własnym Chrystus". W tym samym rozdziale mamy wytłumaczenie gienezy imion: Nazarejczyk (miasto Nazaret według wywodów autora miało nie istnieć), Jezus, Mesyasz, Marya, Józef, Anna, Piotr, a oddzielny rozdział poświęcony jest specjalnie imieniu Jana Chrzciciela, którego Niemojewski, zbadawszy odpowiedni materjał porównawczy i odnośną ikonografję, uważa za mającego wszystkie cechy umiejscowionego bóstwa, czyli istnienie człowieka tego imienia wydaje mu się problematycznym.

W drugiej części książki autor podejmuje już prawie wyłącznie zagadnienia z zakresu mitologji gwiaździarskiej. Przejście jest może zbyt szybkie, w szczególności końcowy ustęp części pierwszej nie zadowoli badawczego umysłu czytelnika. Oto czytamy: „Od zwierzyny na łowach ściganej, od ryby w nurtach rzeki łowionej, od jaguara czającego się w zaroślach, od węża, który czatował z zębem jadowitym, od tej plątawy niebezpieczeństw i potrzeb nieustannych—gdzieś, raz, kiedyś człowiek w niebo spojrzał i postrzegł słońce. I wtedy zauważył, że ono wschodzi zarówno nad nim, jak nad jaguarem i grzechotnikiem. Że ono jest potężniejsze, niż śmierć. Nie. I ono nawet ma swego jaguara, który w zaroślach blasku czai się niepostrzeżenie. I ono ma jakiegoś węża, który je opasze i zdusi. I ono cierpi, walczy, znosi gwałt, zwycięża". (str. 153). Jest to obraz piękny pod względem literackim, lecz gienezy tego zjawiska animistycznego w sposób naukowy nie tłumaczy; „postrzeżenie" słońca, jako źródła płynących stąd wyobrażeń, jest chwilą zupełnie nieuchwytną, a raczej nie można wcale przypuścić takiego stanu w jakimś określonym momencie, kiedy człowiek po raz pierwszy „zobaczył" słońce. Stworzenie pewnej interpretacji zjawiska natury mogło przypaść na określoną epokę, lecz zjawisko samo, tymbardziej takie jak słońce, widziane było wiecznie. [1])

Uwagę tej samej natury możnaby uczynić czytając początek części drugiej, gdzie autor, znowu pięknie skreśliwszy psychologję człowieka pierwotnego, obserwującego walkę dnia z nocą, pisze: „pomiędzy narody poszła tedy wieść o onej nadzwyczajnej walce Bożego słońca z Czarnym potworem, smokiem oczywiście, którą to wieść powtarzano z pokolenia w pokolenie". Jakże zresztą mogły iść wieści i o jakim „wydarzeniu", skoro, jak czytamy dalej: „oto—co miesiąc wre bój, z roku na rok, z wieku na wiek".

Z wielką ciekawością przystępujemy do części odtwórczej, która właściwie rozpoczyna się od rozdziału 16 p. t. „Królestwo niebieskie". I nie spotyka nas zawód. Zagłębiamy się tu w odtworzonej z dużym talentem księdze objawień, jaką było dla ludzkości niebo, które wyobrażano sobie jako pełne żywych stworzeń. Ideogramami tych objawień były konstelacje. A więc mamy w kilkudziesięciu szczegółowo omówionych rysunkach pokazane konstelacje, między innymi Wołu, Lwa i Orła (czterej ewangieliści posiadają następujące symbole: Łukasz — Wołu, Marek — Lwa, Jan — Orła i Mateusz — Człowieka), Bliźniąt (z której to konstelacji wyprowadza autor astralny mit o dwuch bliźniętach bożych: Janie Chrzcicielu i Jezusie Nazareńskim), Panny (w Egipcie Izydy, w Grecji Ceres, a w chrystjanizmie Maryi), Baranka (dwunasta konstelacja Zwierzyńca Niebieskiego), który jest w Nowym Testamencie symbolem chrześcijańskiego Zbawiciela, — i wiele innych.

W tej części autor z wielką umiejętnością posługiwał się pracami Dupuis, Jeremiasa, Riehma i Morozowa. Natomiast rozdział 19-ty („System astralny Łukasza") — jest to zdobycz osobistych badań Niemojewskiego, która, jako taka, zajmie odpowiednie miejsce w dzisiejszej nauce historji religji. (Nie wątpię, że książka Niemojewskiego będzie przetłumaczona na obce języki). Omawiać tej części dzieła tutaj nie mogę, gdyż należy właśnie do najbardziej skondensowanych rozdziałów, polecam ją więc tylko szczególnej uwadze czytelnika. Możnaby tylko nie zgodzić się z autorem, kiedy powiada, że to wyłącznie kościół zbrutalizował pojęcie astralne, zastępując je teologicznym naturalizmem; możnaby zapytać, czy w tym dzie-

[1]) Istnieje bardzo dużo dzieł, których autorzy wyobrażali sobie w przeróżny sposób „początek" wyobrażeń religijnych i wskazywali na jakieś przypuszczalnie „największe wrażenie" z pośród wszystkich wywieranych na człowieka pierwotnego przez zjawiska natury, najczęściej zaś wskazywano na słońce, jako na zjawisko najpotężniejsze i z kultu słońca wyprowadzano wszystkie wierzenia. Zaczątki pojęć ludzkich giną w mgle przeszłości, to też wszelkie hipotezy są tu całkiem dowolne. Typową pod tym względem pracą jest poważna skądinąd książka Jules Baissac'a: *Origines de la religion* 2 tomy in 8-o, Paryż, oraz cytowana kilkakrotnie przez autora książka Malverta *„Science et religion"*.

jowym procesie przeobrażania się wierzeń nie odgrywały roli głębsze, powszechniejsze czynniki, tkwiące w zbiorowej psychologji wielkich mas; czy, dalej, kościół, jako instytucja, mocen jest tę psychologję doszczętnie zmienić dla swoich celów i czy raczej nie jest tylko jej zwierciadłem? Proces, że tak powiem, konkretyzacji wszelkich alegorji, symbolów i pojęć odbywa się we wszystkich religjach świata. Przesądny Chińczyk wyznający taoizm, myśląc o twierdzeniu twórcy tej religji, Lao—Tse, że człowiek, osiągnąwszy Tao (stan doskonałości), wywyższa się ponad świat zmysłowy, rozumuje, że Lao Tse, jako istota doskonała, fruwał w powietrzu; ze słów: „człowiek może się uwolnić ze swego ciała, mimo że je posiada" (t. j. może dojść do stanu zapełnego uduchowienia) wnioskuje, że dusza taoisty może się ukazywać w najróżniejszych ciałach i tworzy odnośny system magji, a z kolei spełnianie odpowiednich obrządków powierza kapłanom. Czy możemy tym kapłanom przypisać odbyty tutaj proces zbrutalizowania pojęć Lao—Tse?

Uderza nas także sprzeczność zachodząca pomiędzy poglądem autora na owo zbrutalizowanie pojęć astralnych (str. 229) a zdaniem: „Chrześcijaństwo odbiegło ideologicznie niesłychanie daleko od swej kolebki astralno-totemicznej, używało wszelkich sposobów, by ślady swego pochodzenia zatrzeć a religję wznieść *na wyższy poziom pojęć* (str. 258).

Dalsze rozdziały są równie ciekawe: o Jezusie, jako symbolu księżyca na młodziku (co widać właśnie z astralnego systemu Łukasza), jako symbolu słońca (według śladów systemu astralnego u Mateusza), wreszcie o teorji pojęć szczątkowych, gdzie daje autor jaskrawy obraz pozostałości z epoki wierzeń astralnej w dzisiejszym chrystjanizmie.

Rozdziały ostatnie („Kur Piotrów", „Rybacy" i „Słup Mojżeszowy") są już właściwie tylko uzupełnieniem. Część odtwórczą zamyka autor pięknym aforyzmem: „Najpiękniejszym nieraz w dziejach świata to było, co żyło tylko w duszy natchnionej ludzkości". Następują niezwykle sumienne i szczegółowe przypiski, mające nieocenioną wartość dla pragnących ten zakres zagadnień poznać bliżej. W końcu — obszerna bibljografja przedmiotu.

* * *

Dzieła tych uczonych, którzy daną grupę zjawisk religijnych wyprowadzają z jakiegoś jednego źródła, należy przyjmować z pewnym zastrzeżeniem. Na rozwój każdego wierzenia religijnego składa się niezliczona ilość czynników z różnych dziedzin życia ludzkiego; dzieje każdej religji, jak już powiedziałem na wstępie niniejszego artykułu, odzwierciadlają całe psychiczne, moralne, obyczajowe i materjalne życie jej wyznawców. Dlatego też analiza danej kategorji zjawisk religijnych oświetlająca tylko najbardziej widoczne, najjaskrawsze czynniki ich powstania i rozwoju, nie rozwiązuje jeszcze wszystkich tych zagadnień, które podejmuje. Mimo to, stanowić może niezaprzeczoną wartość naukową przez zwrócenie uwagi na te czynniki, które inni uczeni zgoła pomijali. Teorja Spencera, [2]) który wyprowadzał wszystkie pojęcia i obrządki religijne z pierwotnego kultu przodków, nie ostała się w nauce historji religji właśnie dla swej jednostronności, a jednak spostrzeżenia Spencera pozostaną na zawsze trwałym nabytkiem tej nauki. To samo daje się powiedzieć o wielu licznych już dzisiaj uczonych, traktujących postacie różnych bohaterów i zbawicieli jako mity kosmiczne. [3])

Niemojewski dał nam pracę dużej wartości, mimo zarzuty, jakie mu można uczynić. Sądzę, że ostatecznego rozwiązania problematu *Jezusowego* nauce historji religji nie uda się zdobyć, autor jednak położył w tej dziedzinie zagadnień pewną zasługę i na wiele zawiłych kwestji rzucił silne światło. „Nie może nas dziwić — powiada znany historyk religji Karol Vollers [4]) — że niektórzy badacze powątpiewali wogóle o samym istnieniu Jezusa, uważając je za wytwór mityczny. Stanowcze rozstrzygnięcie tej kwestji pozostanie chyba na zawsze wykluczonym, wobec nader skąpych materjałów. Przyznać jednak należy, że ważne dane przemawiają za owym radykalnym tłumaczeniem mitycznym, gdyż żadną miarą nie można dostarczyć argumentów, mogących bezwzględnie stwierdzić historyczność osoby Jezusa". (str. 204).

Ton całej książki Niemojewskiego odznacza się podniosłością, a styl jest przepiękny. Chwilami tylko porywa autora temperament publicysty — działacza i te miejsca mącą czytelnikowi stan spokojnej kontemplacji, w jakim dzieła takie czytać należy.

J. W.

LITERATURA i SZTUKA.

Jan Lorentowicz: **Młoda Polska**. II. *St. Przybyszewski i W. Reymont.* Nowości literackie St. Sadowski. Warszawa, 1909.

Pomimo rozczarowania, jakie wywołała pierwsza część „Młodej Polski" p. Lorentowicza, z zaciekawieniem brałem do ręki następny jej tom, widząc, że jest w nim mowa o Przybyszewskim. Chwila obecna zdawała mi się jakgdyby stworzoną na to, by jakieś powołane pióro podjęło próbę uchwycenia i ustalenia charakterystycznych rysów tej niezwykłej organizacji psychicznej; by jakaś czująca ręka, umiejąca odróżnić „skandal literacki" od przyśpieszonego tętna chwili, która wśród nieporozumień i oburzeń sama siebie rodzi, potrafiła na tle tej niedalekiej, nie zamkniętej jeszcze przeszłości nakreślić wierne jej odbicie; by jakieś jasno patrzące oczy wymierzyły punkt załamania się i przecięcia tej chwili z wielką linją kulturalnego i artystycznego rozwoju naszego społeczeństwa.

Dziś, gdy Przybyszewski usunął się osobiście z widowni, gdy przestał być kością niezgody dla jednych a sztandarem dla innych, gdy czas przewartościował rozmaite walory jego działalności i pewną ich część odsunął zupełnie, a inne wziął ze sobą i poniósł w swych nurtach, było miejsce na pracę, która chciałaby być rzetelnym porachunkiem i próbą historycznego sądu.

Na warsztat dziennikarza wypada książka wprost z prasy drukarskiej; wypada ich tak wiele, a war-

---

[2]) Zasady socjologji, tom I-y.

[3]) Wyszło już wiele dzieł dowodzących nieistnienia niektórych wielkich proroków i założycieli religji. Wykazywano niejednokrotnie, że Budda miał nie istnieć, lecz że jest tylko mitem słonecznym. Już trzydzieści parę lat temu dowodził tego uczony francuski Senart: *Essai sur la légende du Bouddha*, Paris 1875, a z większym jeszcze zasobem wiedzy twierdził to samo znakomity znawca starożytnych Indji H. Kern (*Geschiedenis van het Buddism in Indie*, 2 tomy, 1882—1884, — w tłum. franc. p t. *Histoire du Bouddhisme dans l'Inde*, Paryż, 1902). Bezwarunkowo wielki pierwiastek mityczny w legiendzie o Buddzie zasugestjonował tych badaczów, to też posunęli się zbyt daleko, pomijając pierwiastki całkiem ziemskie i o charakterze realnym. Wykazali to inni uczeni, a w pierwszym rzędzie Oldenberg we wspomnianym dziele, oraz D-r Edw. Lehmann w wielkiej zbiorowej pracy, wydanej przez prof. P. D. Chantepie de la Saussaye (drugie wydanie niemieckie wyszło w 1897-ym roku). Ten sam zarzut postawić można podobnym pracom o Jezusie.

[4]) K. Vollers: *Religje świata w ich związku dziejowym* w przekładzie polskim. Kraków — Warszawa, 1909.

tość ich jest tak nierówna, że nie może tu być mowy o uchwyceniu jakiejkolwiek ciągłości między wczoraj i dziś, czy o możliwości zorjentowania się w tej powodzi najróżnorodniejszych przejawów ducha. Jedyną więc troską i jedynym obowiązkiem dziennikarza jest czuwanie nad tym, by chwast nie zagłuszył kwiatów, by trawa ich nie przerosła, by im się krzywda jakowaś nie stała. Ze zmianą jednak stanowiska zmienia się i punkt widzenia, historyk więc, czy *essai'*ista inne ma przed sobą zadania, niż dziennikarz i inne też stawiamy mu wymagania. Dla niego nie może książka istnieć jako oderwana całość i nabiera właściwie znaczenia dopiero w zestawieniu jej ze wszystkimi pozostałymi utworami danego autora, sam zaś ów autor staje się zjawiskiem, które objaśnić i oświetlić można jedynie przy pomocy metody porównawczej i tylko wtedy, gdy działalność jego rozpatrywaną będzie na szerokim tle, które jednocześnie służyć będzie za jej miarę i sprawdzian.

Tego tła brak mi w studjach p. Lorentowicza i to stanowi zasadniczy ich błąd. Pozbawiając się tego szerokiego poglądu na sprawę, który z każdej wybitniejszej twórczości robi zjawisko kulturalne, staje p. Lorentowicz na bardzo wązkim i ciasnym gruncie estetyzującego smakosza. Nic go nie obchodzi ani to, co dany autor wnosi ze sobą, ani to, co z niego pozostanie; obcą jest mu walka, którą każde *dziś* stacza z każdym *wczoraj* i obojętnym tej walki rezultat.

Czytelnik, który bierze do ręki książkę p. Lorentowicza, dowiaduje się, że „na dnie duszy polskiej osiadł na zawsze jakiś smutek nieuleczalny", że niekiedy „ta melancholja przepaścista zamienia się w prawdziwą chorobę" i że „tak się stało z najgłośniejszym (chociaż nie największym) twórcą młodej Polski, Stanisławem Przybyszewskim".

Oto wszystko. Tak nas wprowadza p. Lorentowicz, takim wstępem poprzedza swe rozumowania i ocenę twórczości Przybyszewskiego, a zamyka je „próbą syntezy" — ale chyba tego, co sam powiedział o Przybyszewskim, nie zaś tego, czym on był w rzeczywistości, nie znajdujemy tu bowiem nic, ponad takie określenie, że Przybyszewski „przeszedł przez młode piśmiennictwo polskie jak burza", że prawdopodobnie nie będzie miał ani „uczniów", ani zdolnych naśladowców, że „w Niemczech nie mógł być tak popularnym jak w Polsce, ale w Rosji był przez szereg lat jednym z najpoczytniejszych pisarzy", że wreszcie „droga, jaką kroczył połamany gienjusz Przybyszewskiego, miała straszliwe niespodzianki."

I oto znowu wszystko — i oto cała tak nazwana „próba syntezy".

P. Lorentowicz nie twierdzi zresztą, że twórczość Przybyszewskiego przeszła bez echa, przyznaje, że „wywarł on wpływy niemałe", ale nie zadaje sobie trudu, by je wskazać, lub przynajmniej określić. Mówiąc o przedmowie do utworów Dagny Przybyszewskiej, cytuje p. Lorentowicz zdanie Aleksandra Świętochowskiego, który z tych kilku zdań umie wykrzesać całą głębię ich treści, na szerokich rozwija ją planach i mówi o nich, że „w tych prostych a przepięknych słowach brzmi nuta, która coraz bardziej staje się podstawowym tonem pieśni odrodzenia w literaturze", że „z nich strzelają promienie nowej idei, która jest wschodzącą gwiazdą natchnień poetyckich". Dla Świętochowskiego, nawet ten błahy bądź co bądź szczegół, tych kilka „prostych słów" staje się zagadnieniem, w którym szuka tonu pieśni odrodzenia i wschodzącej gwiazdy natchnień poetyckich; p. Lorentowicz z tego samego faktu inny wyciąga wniosek i zaopatruje go w biograficzny komentarz, iż w owej chwili „przez dziwne skojarzenie wypadków poeta staje się najgłośniejszym bohaterem własnych dramatów".

Ale gotów jestem ostatecznie pogodzić się ze sposobem patrzenia p. Lorentowicza. Nie pragnie on niczego innego, jak tylko towarzyszyć czytelnikowi w pewnej artystycznej wycieczce, przebyć z nim drogę, po której kiedyś wspinał się Przybyszewski i zaopatruje we własne uwagi charakterystyczne jej zakręty. Ale p. Lorentowicz jest przykrym towarzyszem w tej podróży, gdyż posiada dar płoszenia wrażeń, jakąś dziwną właściwość duszy, która ani jemu samemu, ani też tym, którzy go słuchają, nie pozwala ani na chwilę oddać się bezpośrednio jakiemuś wrażeniu, wyssać je do dna i nacieszyć się nim do syta. Stara się on wszystko „wyłuskać", rozłożyć, uprościć, ale najczęściej sam pada ofiarą tej zbyt natarczywej analizy, i używając zbyt energicznych odczynników, sam niszczy to, co pragnąłby odnaleźć.

Pasjami lubię majonez, gdyby mi jednak ktoś w chwili, gdy zasiadam do spożycia go, zaczął opowiadać, że jest to mieszanina surowych żółtek z oliwą, miałbym dziwne wrażenie. Myśl o surowych żółtkach przyprawia mnie o nudności, a oliwa przypomina mi wstrętną Emulsion Scott, którą daremnie starano się mnie tuczyć w dzieciństwie. Nie, po takim wykładzie napewno odsunąłbym talerz nietknięty...

P. Lorentowicz lubuje się jednak w podobnych wykładach, nic więc dziwnego, że często nie może się doszukać smaku w tym, co sam sobie zepsuł i obrzydził przez zbyt daleko posuniętą analizę. W „Homo Sapiens" widzi p. Lorentowicz tylko Falka, a i ten jest tylko „objawem bezradności, jest ofiarą hipererotomanji, jaką dostrzegł w nim krytyk niemiecki, Leo Berg", przytym „ma anegdotę życiową dosyć smętną". „Dla szczęścia" — to „anegdota z drobnych wiadomości dziennikarskich wzięta". Główna teza „Złotego runa" jest „oburzająco banalna". „Osoby działające (w „Gościach") noszą nowe nazwiska, ale są tak wzruszone i tak się dręczą, że poznajemy w nich pary miłosne z „Dla szczęścia" i „Złotego Runa".

Cytaty te wystarczą, by wykazać, jak p. Lorentowicz może się męczyć, gdy wszędzie znajduje tylko powtórzenia czegoś dawno już znanego, lub rzeczy tak banalne, że wystarczy je opowiedzieć, by je pogrzebać.

Ale p. Lorentowicz z równym samozaparciem umie kruszyć nietylko fikcje sztucznie zbudowanych kolizji i coraz to nowe imiona przybierających aktorów, lecz z równą bezwzględnością szarpie on nieraz za nić przewodnią utworu, by pokazać jej wątłość lub nicość. Wiemy jak wielką rolę odgrywają u Przybyszewskiego wyrzuty sumienia. P. Lorentowicz cytuje studjum Dumasa o „Biologicznych warunkach wyrzutów sumienia" i powołuje się na wyrażone w nim zdanie, iż „zastrzyknięcie kofeiny wystarczyło w doświadczeniach eksperymentalnych, aby zmienić ton świadomości moralnej jednostki i zniszczyć w niej skrupuł lub wyrzut sumienia". Czym więc wobec takiego naukowego postawienia sprawy są zgryzoty Falka po śmierci Maryty, przeczucia Ruszczyca lub fanaberje Hanki z „Dnia sądu?!" Ale czym jest również Lady Makbet, której obłędnymi wizjami bawi nas poczciwina Szekspir przez parę kwadransów, jeśli jedna dawka kofeiny wystarczała, by ją uspokoić, jedna kropla tego czarodziejskiego odwaru mogła była zetrzeć z jej białych dłoni te czerwone plamy, których to podobno wody wszystkich mórz zmyć nie były w stanie?

Podobnym zdaniem jak taranem walić można w najszanowniejsze arcydzieła i nic się nie ostoi wobec... dawki kofeiny. Ale, tłukąc zwierciadła, komu większą wyrządzamy krzywdę, czy im, czy też sobie samym, że się w nich już przeglądać nie będziemy mogli?

P. Lorentowicz nie zawsze jednak ucieka się do taranów; najczęściej wystarcza mu jedno skrzywienie ust, wzruszenie ramion, przymrużenie oczu i sfałdowanie czoła, to, co nazwałbym predyspozycją niechęci, a wobec niej pryska urok, mroczy się i pierzcha wstydliwe piękno. Krytyka jego jest nawskroś podmiotową; gardzi ona motywem i uzasadnieniem, a za naj-

wyższy sprawdzian uważa własne wrażenie, które może być dodatnie lub ujemne, zależnie od chwilowej predyspozycji lub zasadniczych niechęci czy upodobań. Przeważa w nim jednak pesymizm; ceni on widocznie bardzo wysoko swą pochwałę i, jeżeli zdobywa się na nią, to zaopatruje ją w tyle nawiasów, zastrzeżeń i ograniczeń, że przypomina ona te manifesty, których paragrafy giną w powodzi zamieszczonych pod nimi wyjątków. Tak np. p. Lorentowicz mówi: „*Kiedy — niekiedy* obrazy Przybyszewskiego są piękne, *chociaż chłodne i sztucznie* zrobione".

Ta oględność wypływa jednak raczej z właściwości duszy p. Lorentowicza, o której już mówiłem, że nie umie on całkowicie i niepodzielnie oddać się pewnemu wrażeniu lub uczuciu, niż ze zbytniej surowości, gdyż p. Lorentowicz nie chce być niesprawiedliwym i w pewnej chwili potrafi nawet za cenę przeczenia sobie odwołać jednym zdaniem zbyt silnie gdzieindziej zaznaczoną myśl. Wspominałem już, że p. Lorentowicz zarzuca postaciom Przybyszewskiego za małe ich zróżniczkowanie indywidualne, nieco dalej jednak czytamy takie zdanie: „Wszystkie postacie jego (Przybyszewskiego) dramatów mają poczucie fatalistycznej konieczności swych czynów i ten właśnie warunek nadaje każdej znamiona głębokiej odrębności, niekiedy wprost jedyności, przy pozorach codziennej szarości".

Widzimy więc, że i tą drogą drobiazgowej analizy, cząstkowania i rozdrabniania nie dochodzi p. Lorentowicz do głębszego wniknięcia w istotę dyskowanego przedmiotu, a będąc ciągle niezadowolonym i tak poprawnie chłodnym, nie zapala czytelnika i nie sugiestjonuje mu swych wrażeń i myśli.

Wolę więc, gdy p. Lorentowicz zaczyna mówić o Reymoncie i, gdyby książka zawierała tylko to jedno studjum, nie miałbym nic do nadmienienia ponad to, że nie zgadzam się wogóle na podobną metodę krytyki.

Znajdujemy tu jak gdyby dwa urywki z pamiętnika, jeden z datą 1896 roku, drugi — o dwa lata późniejszą. Są to dwie rozmowy p. Lorentowicza z Reymontem. Pierwsza toczy się na „imperialu". Reymont jest jeszcze „wątły, szczupły, przygnębiony"; druga w dorożce, bo Reymont gardzi już omnibusem; jest on teraz „mocny, tęgi". Bije od niego taka łuna sławy, że siedziałem (mówi p. Lorentowicz) olśniony". Zażyłość panuje między rozmawiającymi i p. Lorentowicz bez ceremonji wypowiada swe zdania o pracach Reymonta, — są to jednak tylko rozmowy, bo nawet nie djalogi pisane na wzór starożytnych, czy średniowiecznych zabytków piśmiennictwa, które często używało tej formy. P. Lorentowicz chce kolejno przejść wszystkie utwory Reymonta, przeskakuje więc z tematu na temat, zadowala się krótkimi uwagami, wyrokami ferowanymi naprędce, zatrąca o nowele, przechodzi do „Komedjantki" i „Fermentów", tu potrąci o jakąś postać, tam zawadzi o temat, przebiera je jak ulęgałki i jedne odrzuca jako „niesmaczne", inne podnosi już do ust, ale rozgryzszy je i „wyłuskawszy", krzywi się, inne wreszcie zaszczyca umiarkowaną pochwałą. Gdybym był trzecim w tych rozmowach, może od czasu do czasu miałbym jakieś słówko do wtrącenia, tu jednak trudno mi jest sprzeczać się o każdy szczegół, a spraw zasadniczych p. Lorentowicz nie porusza ani w swych „rozmowach", ani następnie, gdy, począwszy od „Ziemi Obiecanej" zaczyna już nie w formie djalogu rozbierać dalsze prace Reymonta.

W studjum tym doprowadza p. Lorentowicz swą „metodę" do zwykłej już pogawędki, czy feljetonowej oceny, swą beztroskę o historyczne czy idejowe wytyczne do nonszalancji tajnie wypowiadanych zdań, a zdania swe do subjektywnych sądów, których umotywowania szukać należy raczej we właściwościach duszy sądzącego, niż w istocie rozpatrywanego przedmiotu.

I, gdybym, postulując na początku konieczność historycznego tła i syntetycznego ujęcia przedmiotu, chciał udowodnić, czym się staje praca historyka, czy essay'isty pozbawiona tych wytycznych, mógłbym był tylko wskazać na to ostatnie studjum p. Lorentowicza.

Stefan Gacki.

TEATR LETNI: **Tylko sen.** Komedja w 3-ch aktach, Lothara Schmidta, z niem.

O dowcipie niemieckim są rozmaite zdania. W każdym razie nie ma on nigdy pienistości szampana, choć bywa nieraz cięty jak w *Simplicissimusie* i czasem głębszy od francuskiego, albo też jowialny jak we *Fliegende Blaetter.* Mimo to, jak w przemyśle Niemcy nauczyli się fabrykować wcale zgrabne *articles de Paris*, tak umieją też układać farsy na sposób francuski. Ponieważ zaś głównym tematem farsy bywa w Paryżu zazwyczaj niewiara małżeńska — przeto i Lothar Schmidt na tym tle ułożył farsę swoją pod. t. *Tylko sen.* Jest dwóch architektów Stabrin i Sponhotz, i jest Anna Stabrinowa i jej przyjaciółka Gizela, żona profesora. Stabrin odprowadza Gizelę do domu, co powoduje między nimi bardzo mocne zbliżenie; tymczasem Sponholz zakrada się do Anny i byłby ją niewątpliwie uwiódł (wszyscy są półpijani, a rzecz dzieje się w maju), gdyby nie to, że jakiś również półpijany ordynans tą samą drogą zakrada się do kucharki. Nazajutrz Anna opowiada mężowi swoje zdarzenie jako sen, który jednak zawiera dla Stabrina ostrzeżenie, gdy oto zjawia się mąż Gizeli, który już wie o wszystkim (przez detektywa); zamierzając starać się o rozwód, żąda od Stabrina, aby mu był świadkiem w tej sprawie — i całą rzecz odsłania przed Anną. Byłby dramat, ale szczęściem wszyscy dość lekko całą tę drobnostkę traktują — i wszyscy — wobec wspólnych win — przebaczają sobie grzechy i śmieją się wesoło.

Krotochwila pusta, zabawna i płytka; miejscami trochę dowcipu w stylu *quasi* — paryskim, niezawsze wytrzymanym. W gruncie rzecz ta nie była godną przekładu, a podobno Lothar Schmidt ma lepsze rzeczy.

Główne role grali pp. Frenkiel i Wilczyński, panie Ordon-Sosnowska i Pawińska.

TEATR WIELKI: **Hanusia.** Sztuka w 2-ch aktach. G. Hauptmana. Przekład Marji Konopnickiej.

Sztuka ta była napisana piętnaście lat temu; była już grywana w Łodzi, we Lwowie, w Krakowie, w ogródkach warszawskich — i dopiero teraz przedostaje się na scenę Teatru Wielkiego. Świadczy to dowodnie, jak błędny był kierunek dawnej dyrekcji warszawskich teatrów, która zbyt późno daje to widowisko zarówno publiczności naszej, jako też i pisarzom, którzy przed piętnastu laty niewątpliwie żywiej i owocniejby odczuli istotę tej sztuki, niż to ma miejsce dzisiaj. Hauptman w sztuce *Hannele* powziął niezmiernie śmiały zamiar, aby zerwać na scenie z czarnym ubraniem, salonem pana hofrata i t. p. mieszczanerją — i wprowadzić na scenę kolor, wizję i fantazję. Szczęśliwe skojarzenie brutalnego realizmu z szeregiem barwnych widzeń półsennych, gorączkowych, przedśmiertnych — tworzy widowisko jedyne w swoim rodzaju. I jeżeli jaki pisarz zacznie tworzyć pod wpływem Hauptmana — to może dać przewagę światu widmowemu—i wtedy powstaje Wyspiański,—albo też realizmowi—i wtedy zjawia się Gorkij (Na dnie)

Nie mam zamiaru przeceniać Hauptmana: dał on kilka rzeczy bardzo dobrych i oryginalnych (*Dzwon zatopiony, Tkacze, Kolega Crampton*) i wiele sztuk znacznie słabszych. Niewątpliwie Gorkij, a zwłaszcza Wyspiański — jako talent stoi znacznie wyżej od Hauptmanna i Hauptman był tylko jednym momentem w skali wpływów, co na niego oddziałały. Ale Hannele jest, obok Tkaczy, arcydziełem; jest to obraz wysnuty w wielkim natchnieniu z ludowych poglądów niemieckich, z jego dziecięcych pobożnych zwidzeń, wierzeń i świętych obrazków; zarazem jest to silne ujęcie przejawów psychicznych dziecka, osoby gorączkującej, nieszczęśliwej, biednej, a która marzy w delirjum o świetnościach, aniołach, niebie, ładnej sukni i trzewiczkach, o pięknej trumnie, o umarłej mamie, o strasznym ojczymie i o jego karze, o Panu Jezusie i wniebowzięciu.

Wszystko to jest niezmiernie piękne — i w swoim czasie było nowością czarującą. Dziś nieco spóźnione, lecz mimo to nader miłe i godne widzenia, jako rzewno-mistyczny obraz usiłowań pisarza, który chce się wyrwać z prozy. Wystawa doskonała, choć chwilami scena nieco przydługo bywa ciemna; zmiany odbywają się zbyt powoli. Reżyserja bardzo umiejętnie rozłożyła efekty barwne i muzyczne — w rodzaj symfonji baśniowej.

P. Tekla Trapszo świetnie wywiązała się z roli Hanusi, nadając jej niewymowny czar poezji mistyczno-dziecięcy. P. Śliwicki był dobry jako Goltwald, słabszy jako Chrystus, zbyt deklamacyjny. Ponieważ jest to sztuka, gdzie przedewszystkim działa tłum, przeto ruch na scenie jest wielki — i trzeba dodać — dobrze zreżyserowany.

Antoni Lange.

TEATR WIELKI: **Gringoire**. Komedja w jednym akcie Teodor de Bauville.

Miła, stylowo wystawiona sztuka wytwornego poety, którego inne utwory, jak *Pocałunek*, *Żona Sokratesa* grano w Warszawie. Autor maluje despotycznego króla Ludwika XI, który w momencie dobrego humoru — przebacza poecie Gringoire'owi, choć ten w jego obecności deklamuje wiersz swój o wisielcach, powieszonych z rozkazu królewskiego. Poeta nie wie, że stoi przed królem — i oto, gdy tę sprawę pojął, ma być również powieszony. Ale ratuje go piękna Ludwika, chrzestna córka króla, która, oczarowana jego poezją, zgadza się być żoną brzydkiego włóczęgi w łachmanach, ale razem bohatera, co się nie lęka szubienicy. Sztuka ta była dawniej zakazana, choć już 43 lata mija od czasu, gdy była napisana. Antor wykazuje tam potęgę pieśni, a z drugiej strony nieco fałszuje historję i krwiożerczego Ludwika robi nieco dobrodusznym Dagobertem, choć i tu król ma chwilę kapryśnej furji. Grano tę sztukę nieco ospale, a w bladym przekładzie znikła perlistość i tęczowość stylu T. de B.

Antoni Lange.

Z Zachęty.

Wystawa pośmiertna prac Witolda Wojtkiewicza.

Nie była oryginalną w ścisłym słowa tego znaczeniu sztuka wieku XIX, ale odznaczała się ona rozmaitością kierunków i mnóstwem odcieni, które sprawiły, iż cały ten okres należy do najbardziej interesujących w historji rozwoju sztuk plastycznych. Dopiero w wieku XIX sztuka wyzwoliła się z więzów, pieluch czy opieki, a artysta stał się wolnym, mógł tworzyć według własnego upodobania i wysunąć hasło: sztuka dla sztuki, które w epokach innych nie było ani znanym, ani uprawianym.

Dla przyszłego historyka sztuki najciekawszym okresem w rozwoju sztuki XIX wieku będzie koniec tego stulecia, gdyż w ostatnich dwu jego dziesiątkach lat pojawia się znaczny szereg talentów indywidualnych, kroczących drogami rozmaitymi, wiodących, do nowych i zupełnie odrębnych pojęć estetycznych o sztuce.

Panujący w połowie XIX w. realizm w sztuce z jego pojęciem, iż sztuka jest to *kawałek natury* widziany po przez pryzmat duszy artysty, upada, a natomiast co raz częściej poczynają pojawiać się dzieła nie wiele albo nic z naturą nas otaczającą nie mające wspólnego, ale oparte na *fantazji* wysnutej z duszy artysty.

Powstaje świat zjawów, dziwów, bajek, przed którym przeciętny widz staje zdziwiony, zdumiały formami, których odczuć nie jest wstanie, a które jednak wywołują i w jego duszy pewne wrażenie, zazwyczaj połączone z niepokojącym podrażnieniem.

Ten ciekawy przejaw w sztuce nowej i najnowszej, pełen zadziwiającego uroku i poezji, zaznaczył się również i w naszej polskiej sztuce, a Witold Wojtkiewicz był jednym z najbardziej interesujących jego przedstawicieli. Niestety, młody ten artysta nie mógł talentu swego rozwinąć w pełni, zmarł bowiem bardzo wcześnie, jednak to co pozostawił po sobie, wyrobi mu miejsce na zawsze pomiędzy najlepszymi artystami naszymi doby obecnej.

Prace Wojtkiewicza mało były znane szerokiej publiczności naszej, oryginalnością swoją raziły ją poniekąd, a jako mało zrozumiałe, były nawet fałszywie przez krytykę sądzone. Obecnie, gdy śmierć artysty stała się powodem urządzenia zbiorowej wystawy prac jego, na którą się złożyły około sześćdziesięciu dzieł, publiczność ma możność zapoznania się dokładniejszego z rodzajem talentu zmarłego malarza i jak spodziewam się — słusznie go ocenić.

Fantastyczne są prace Wojtkiewicza, gdyż bohaterzy jego wyobraźni składają się z lalek, dzieci, pajaców i warjatów. A ze wszystkich tych prac wieje smutek, rozpacz cicha, cierpienie, beznadziejność, strach, to jest to wszystko, co dusza nieszczęśliwego, przywalonego chorobą śmiertelną artysty odczuwała sama, a co on wyrażał w tych dziwnie zespolonych ze sobą postaciach, w swych scenach pełnych zagadkowości, mało zapewne zrozumiałych i dla niego samego, jak o tym świadczą tytuły nic zupełnie nie objaśniające.

Fantastyczność pomysłów, posiadających jednak zawsze jakąś myśl, sprawiła, iż postacie wyobrażone przez Wojtkiewicza — co do form, proporcji i wyrazu graniczą z karykaturą. Przesada taka przy pomysłach tego rodzaju jest konieczną. Karykaturalność u Wojtkiewicza nie ma nic trywialnego, przeciwnie, jakaś dziwna z niej groza bije, spotęgowana głęboko wyczutym wyrazem. I dlatego, prace te nawet na najbardziej obojętnych wywołać muszą pewne wrażenie.

Wojtkiewicz był *malarzem*, to znaczy, że w pracach jego temat, pomimo swej fantastyczności, nie odgrywa roli głównej, że w nich artyście chodziło o linje, o plamy barwne, o zespół harmonijny i dekoracyjny, i to wszystko w większości prac swoich osiągnął. To wszystko artysta musiał wysnuć z samego siebie, tego nie widział w otaczającym go „kawałku natury", i natury jako takiej on nie odczuwał, o czym świadczą portrety, studja, a szczególniej krajobraz, który jest nadzwyczaj *po staremu* i szablonowo wyczuty i namalowany.

Talent Wojtkiewicza był pokrewny talentom Jean Veber'a, Odillona Redon'a i Beardsley'a. Jakkolwiek niższy od nich kulturą artystyczną, przewyższa ich siłą uczucia pełnego smutku, i to jest cechą polskości jego talentu.

Wincenty Trojanowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

Zatarg budżetowy w Anglji.

W trwającym od kilku miesięcy ostrym zatargu budżetowym pomiędzy rządem a konserwatystami nadchodzi chwila stanowcza, przełomowa. Za dni kilka, prawdopodobnie, przyjęty już niemal w całości przez Izbę gmin bill budżetowy przejdzie do Izby lordów; dotychczasowa namiętna opozycja konserwatystów zarówno w Izbie niższej jak i w kraju całym pozostała bezskuteczną: Izba gmin nie wprowadziła żadnych poważniejszych zmian do budżetowych propozycji Loyd-George'a.

Zgodnie z kilkuwiekową tradycją parlament. Anglji prawo określania wysokości podatków i ustanawiania nowych należy wyłącznie do Izby gmin; wobec powszechnego i głębokiego poszanowania tradycji historycznej i parlamentarnej w Anglji trudno przypuszczać, by lordowie mogli się zdecydować na wprowadzenie jakichkolwiekbądź zmian w przyjętym przez Izbę gmin billu budżetowym. Odrzucenie billu w całości — jak się odgrażali niektórzy przywódcy konserwatystów — również sprzeciwia się tradycji angielskiej, a jedyny precedens tego rodzaju z r. 1860-go zakończył się, jak wiadomo, zupełną porażką lordów. O ile można wnosić z głosów angielskiej prasy konserwatywnej, lordowie zdają sobie sprawę, że pogwałcenie przez nich tradycji parlamentarnej w sprawie tak ważnej, dałoby ich przeciwnikom politycznym nadzwyczaj silny oręż w rękę. Ogłoszonoby ich rewolucjonistami. Nastąpiłoby niechybnie rozwiązanie parlamentu i nowe wybory już pod hasłem walki przeciw istnieniu Izby lordów.

Pogróżki tego rodzaju pod jej adresem wygłosił Asquith przed paru tygodniami na olbrzymim meetingu w Birmingham. Walka lordów z budżetem — mówił — *będzie miała olbrzymie następstwa i może ich zaprowadzić znacznie dalej, niżeli się spodziewają*. Pragnąc tedy uniknąć roztrzygającej walki w warunkach dla siebie jawnie niekorzystnych, lordowie prawdopodobnie budżet zaakceptują.

I to jednak bynajmniej nie rozstrzygnie samej istoty zatargu. Rdzeń sprawy tkwi właściwie *poza budżetem*, w jego *tendencjach socjalnych i ekonomicznych*. Rzecz w tym, że zamierzone przez rząd doniosłe reformy socjalne i olbrzymie wydatki na zbrojenia morskie, spowodowane rywalizacją z Niemcami, wywołały swego rodzaju *przesilenie* finansowe. Analogiczne zjawisko widzimy zresztą i w Niemczech. Tegoroczny budżet angielski został sporządzony z deficytem około 150 miljonów rubli; i na przyszłość również deficyt, jako spowodowany czynnikami mniej więcej stałymi, nie jest wykluczony. Powstaje więc pytanie: gdzie znaleźć źródło nowych dochodów stałych? Zagadnienie to rząd angielski rozwiązał przez podniesienie niektórych podatków ogólnych oraz przez ustanowienie podatków specjalnych: od ziemi *nie eksploatowanej w celach gospodarczych* i od *niezapracowanego* (t. j. spowodowanego ogólnymi przyczynami socjalnymi) *przyrostu wartości ziemi*. Ostatnie podatki obciążą wyłącznie tak zwanych landlord'ów — nierzadko właścicieli całych ulic i dzielnic Londynu lub innych miast. Otóż w tych podatkach specjalnych lordowie widzą ze strony państwa zamach na prawo własności prywatnej. „Dziś państwo kładzie swe ręce na ziemie lordów — jutro może uczynić toż samo i z kapitałem prywatnym.” Innymi słowy — Anglji zagraża widmo socjalizmu. Oto obronne stanowisko konserwatystów. Natomiast proponują oni dla zrównoważenia budżetu *reformę celną*, która ma nadto przyczynić się do uzdrowienia nadwyrężonych stosunków ekonomicznych państwa. Liberałowie oczywiście nie mogą się zgodzić na propozycje, gdyż tradycyjna wolność handlu jest kamieniem węgielnym całej ich polityki ekonomicznej.

Wobec powszechnie uznawanej konieczności reformy fiskalnej walka pomiędzy liberałami a konserwatystami toczy się właściwie nie o „marne 15 miljonów funtów sterlingów, które lordowie mają wyłożyć z własnej kieszeni”, lecz o to czy ma Anglja nadal zachować wolność handlu i wejść na drogę — zdaniem konserwatystów — socjalistyczną, na którą rząd obecny wstąpił, czy też ma zrezygnować z wolności handlu i przejść do protekcjonizmu ekonomicznego. Wybór jednej albo drugiej drogi niewątpliwie odbije się bardzo poważnie na dalszym rozwoju stosunków ekonomicznych i socjalnych kraju. Anglja stoi na rozdrożu — i dlatego obecna walka budżetowa budzi ogromne, powszechne zainteresowanie.

Wielka popularność budżetu Loyd-George'a wśród warstw pracujących oraz chęć uniknięcia kryzysu konstytucyjnego prawdopodobnie skłoni lordów, jak wzmiankowaliśmy, do przyjęcia budżetu. Będzie to z ich strony bardzo rozumnym i taktycznym krokiem politycznym. Lecz niezależnie od tego obydwie strony walczące pragną odwołać się do opinji narodu w obecnej chwili przełomowej. To też przewidują, że zaraz po załatwieniu budżetu, parlament będzie rozwiązany i nowe wybory naznaczone najpóźniej na styczeń roku przyszłego.

Finał sprawy zagrzebskiej.

Dnia 5-go października zakończył się nareszcie po 7-miesięcznym trwaniu haniebny sąd nad Serbami w sprawie zdrady stanu. Rozpoczęty na podstawie zeznań prowokatora Nasticza na użytek interesów politycznych austrowęgerskich proces ten przeprowadzony był z brutalnym pogwałceniem najbardziej elementarnych wymagań sprawiedliwości: z 824 świadków obrony sąd zbadał zaledwie 42; nie dopuszczał oskarżonych do głosu, odmówił konfrontacji Nasticza, karał grzywnami i więził doraźnie na sali obrońców oskarżonych. Z 53 oskarżonych sąd uniewinnił zaledwie 22; reszta została skazana ogółem na 187 lat więzienia... za noszenie kolorów narodowych, za śpiewanie hymnów serbskich. *Dla 5-ciu oskarżonych prokurator domagał się kary śmierci...*

Wyrok sądu przyjęła prasa wiedeńska powszechnym głębokim oburzeniem i żądaniem przedstawienia oskarżonych do łaski monarszej. Sejm dalmatyński w dzień wyroku demonstracyjnie zawiesił swe czynności; sejm chorwacki wyraził kondolencję skazanym.

KRONIKA.

— Stan ochrony wzmocnionej został przedłużony na pół roku w Warszawie i w gub. Warszawskiej, Lubelskiej i Siedleckiej. Ponieważ termin ochrony upłynął z d. 11 października, zatym we wszystkich innych guberniach, w których dotąd istniała, sama przez się upadła. Utrzymał się zaś stan ochrony nadzwyczajnej w guberni Piotrkowskiej oraz w powiecie Olkuskim gub. Kieleckiej i w dwuch powiatach gub. Kaliskiej.

— We wtorek dn. 19 b. m. odbędzie się w Krakowie obchód jubileuszu Muzeum narodowego przy udziale delegacji ze wszystkich ziem polskich.

— Wskutek zatargu, jaki wyniknął między rządem rosyjskim a Finlandją w sprawie 20 miljonów rubli, sejm finlandzki postanowił apelować do opinji publicznej w Europie.

— W Berlinie odbyło się zebranie wyborcze, które po ostrej krytyce polityki Koła polskiego uchwaliło, że 1-o Polakom wolno głosować na kogo zechcą z wyjątkiem kandydatów dawnego bloku. 2-o że posłowie polscy nigdy nie powinni głosować za podatkami obciążającymi masy ludowe.

— Kanclerz niemiecki Bethman-Holweg jedzie do Watykanu celem omówienia sprawy obsadzenia arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego.

— Posłowie ze skrajnej prawicy Dumy wybierali się do Berlina z wizytą na wzór tej, jaką posłowie innych stronnictw złożyli w Anglji. Udzielono im jednak informacji, że odwiedziny te byłyby wielce niepożądane.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.